

informer

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

ISSN 1505-8476



nr 264
kwiecień 2011



ZAWARTOŚĆ CUKRU W CUKRZE

Tak jak do wstępniaka w „Informatorze” #261 zainspirował mnie nieco wcześniejszy tekst o matematyce, tak teraz – inspiracji dostarczyły mi lutowe „Okruczy”. Przypominam, że były one poświęcone klasycznej fantastyce naukowej. Czyli konwencji, fascynacja którą przyczyniła się do rozwoju światowego i krajowego ruchu fanowskiego; co zaowocowało m.in. powstaniem Giekaefu (nb. w czasach, które dla większości dzisiejszych Klubowiczów są zamierzchnią historią).

Zamiłowanie (albo antypatię) do wszelakiej fantastyki trzeba mieć po prostu w sobie, czasem może nawet głęboko ukrytą. Znam np. ludzi, którzy niczego „nierealistycznego” za nic nie przeczytają ani nie obejrzą. Co zresztą jest swoistym paradoksem: często utwór pozornie realistyczny nie ma zgoła nic wspólnego z rozmaitymi prawdami o życiu (przykładem mogą być rozmaite harlequiny i telenowele), zaś wiele głębokich prawd o losie człowieka znaleźć możemy w dobrym utworze napisanym w konwencji baśni, SF czy fantasy.

Wszelaka fantastyka ma jeszcze jeden, kapitalny dla swych „wyznawców”, walor: daje upust mniej lub bardziej nieokiełznanej fantazji, gdyż przenosi nas do bezliku alternatywnych światów. Dla mnie osobiście był to najwcześniejszy „haczyk”, na który dałem się „złapać”. Już w dzieciństwie zafascynowała mnie nie tylko twórczość Verne’a (którą jednak odbierałem w kategoriach literatury przygodowej), ale też dinozaury i małpoludy u Conan Doyle’a. Później zaś przyszedł czas na polowanie po zaprzyjaźnionych księgarniach na fantastykę bardziej współczesną (aczkolwiek dziś będącą już też szacowną klasyką).

Czytana wtedy przeze mnie science fiction – to były najrozmaitsze opisy niezwykłych wynalazków, odmiennych od Ziemi światów, spotkań z obcymi formami życia i cywilizacjami, wędrówki przez meandry czasu i innych wymiarów. Chłonięcie tego typu fabuł sprawiło mi ogromną frajdę (na pewno nieporównywalnie większą, niż czytanie peerelowskich kryminałów). Muszę jednak przyznać rację, również lutowemu, felietonowi „Stereo i w kolorze”, że więcej w tym było intelektualnego konceptu i zabawy paradoksami, niż wchodzenia w naturę człowieka (aczkolwiek i takie dzieła się, oczywiście, trafiły).

Okres moich polonistycznych studiów na UG – to był jednocześnie czas debiutu miesięcznika literackiego „Fantastyka” i eksplozji polskiej political fiction. Pamiętam regularnie wpłacaną na pocztę prenumeratę (w kiosku na „Fantastykę”, mimo prawie ćwierćmilionowego nakładu, trudno było trafić) oraz frajdę z lektury utworów grających na nosie cenzurze (jakiż miałem ubaw, gdy po kilku stronach *Wyjścia z cienia* zorientowałem się, iż kupiłem właśnie satyrę na stacjonujące w Polsce wojska radzieckie!). Poza tym – wtedy właśnie zacząłem odkrywać Philipa K. Dicka i doceniać Stanisława Lema.

Lecz niewyczerpana, zdawałoby się, kreatywność polskich i zagranicznych twórców (pamiętam, jak jednym tchem pochłonałem np. *Kurs na zderzenie*) obracała się przeważnie wokół fikcji mniej lub bardziej naukowej; trochę tęskno mi nawet było do urozmaiconej, „czystejszej” fantazji z początków tej literatury (weźmy chociażby różnorakie poetyckie nowelki Wellsa). Swoistym zwieńczeniem tych fascynacji była praca magisterska o kategorii przestrzeni w SF (fantastyczne tematy u Profesor Martuszeńskiej były wtedy ewenementem na tle seminariów nader „oficjalnych”, „poważnych” i „realistycznych”) oraz udział w paru konferencjach naukowych (szkoda, że wtedy nie wydawaliśmy „Anatomii Fantastyki”).

W następnych latach nasiliło się zjawisko, o którym przed dwoma miesiącami napisał Ogan: fantastyka naukowa „rozmiękczyła się”, coraz więcej pojawiało się w niej elementów psychologii, socjologii, antropologii (plus ekspansja „konkurencji”, czyli fantasy). Zauważyć się to dało i wcześniej (np. fantastyczny nurt twórczości Primo Levięgo czy humanistyczne przesłanie dorobku Raya Bradbury’ego) – jednak współczesna fantastyka znacznie mniej jest „naukowa” (w sensie „hard”). Można to oczywiście odbierać jako urozmaicenie, zbliżenie do człowieka, wrywanie się z gatunkowych ram – ale czaru dawnych lektur czasami żal...

URODZINY

Kochani Jubilaci!

Ponieważ miesiącem Waszych urodzin jest maj
- życzymy Wam nie tylko (wielkanocnych) jaj*,
ale również fantastycznej wiosny!

*INFO*redaktorzy

* czego, z okazji zbliżających się Świąt,
życzymy Wszystkim Czytelnikom INFO

Specjalne, zaległe i skumulowane życzenia urodzinowe
na dzień 8 marca (nomen omen jest to również Dzień Kobiet)
składamy jubilatce Grażynie Modzelewskiej z KCzK
- za lata 2006, 2007, 2008, 2009, 2010 i 2011.

- 01 Piotr Bortkun
- 02 Michał Turkiewicz
- 04 Marcin Markowski
- 07 Maciej Wiktor
- 09 Mateusz Walendziuk
- 10 Michał Borysewicz
- 12 Wojciech Borkowski
Karolina Majcher
- 14 Michał Narczewski
- 16 Miłosz Zaremba
- 18 Jacek Rzeszotnik
Jarosław Słoń
- 20 Janusz Bogucki
Marcin Szklarski
Michał Szklarski
- 21 Zbigniew Szadkowski
- 22 Adrian Czerwiński
- 25 Paweł Nowak
- 27 Michał Nowicki
- 28 Krzysztof Stefański
Patrik Wierzbanowski
- 29 Karolina Woźniak



MARCOWE POSIEDZENIE ZARZĄDU GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

Odbyło się 16 marca 2011 r. Ważniejsze z poruszanych spraw:

I. SPRAWY ORGANIZACYJNE

1. Postanowiono cofnąć zawieszenie Klubu Fantastyki „Hydrus” i zmienić jego status z Klubu Sprzymierzonego na Klub Lokalny.
2. Powierzono opiekę nad materiałami trwałego użytku członkowi Zarządu Joannie Kamrowskiej w miejsce Krzysztofa Papierkowskiego.
3. Przyjęto sprawozdanie merytoryczne stowarzyszenia za 2010 r.

II. SPRAWY PERSONALNE

1. Nadanie członkostwa rzeczywistego: Janusz Bułakowski, Krzysztof Chmielewski, Marcin Grzybowski, Sławomir Zaremba (Angmar), Tomasz Hoga, Wojciech Ingielewicz, Artur Płóciennik i Ewa Krasowska (Mirror).
2. Przyjęcie członków do GKF: Sylwia Chołota, Piotr Poczwardowski, Wojciech Wielgos, Miłosz Zaremba i Jan Zygmontowski (GKF), Anna Bortkun (Angmar), Irena Gwozdecka (First Generation).
3. Skreślenie za nieopłacenie składek za IV kwartał 2010 r.: Anna Mach, Andrzej Dubiński i Łukasz Węsiora (Angmar).
4. Przeniesienia: Mieczysław Sierociński z KCzK do KF Hydrus.
5. Urlopy: Aleksandra Cetnerowska na 2011 r.

III. SPRAWY FINANSOWE

1. Przyjęto sprawozdanie finansowe stowarzyszenia za 2010 r.
2. Wyrażono zgodę na zwrot kosztów podróży Joanny Kamrowskiej w charakterze przedstawiciela GKF na Pyrkon 2011 w Poznaniu (6 głosów za).

IV. PRACA KOMISJI REWIZYJNEJ

Komisja planuje przeprowadzić w marcu kontrolę finansów GKF. W okresie kwiecień-czerwiec będą przeprowadzone kontrole: Działu Kolportażu; Sekcji Komiksów Działu Bibliotecznego i Działu Gier Fabularnych.

V. IMPREZY

1. Omówiono organizację Nordconu 2011. Zarząd mianował koordynatorem Krzysztofa Papierkowskiego.
2. Poinformowano o przyznaniu przez Urząd Miejski w Gdańsku dotacji na organizację dwóch imprez dla młodzieży i warsztatów literackich dla młodzieży. Urząd Miejski odrzucił wnioski o dofinansowanie warsztatów larpowych i cyklu RPG „Noce Mistrzów”.
3. Omówiono przygotowania do pierwszej z dwóch imprez lokalnych dofinansowanych przez Urząd Miejski w Gdańsku (2 kwietnia 2011 r.).
4. Poinformowano o możliwości współpracy ze Związkiem Harcerstwa RP przy organizacji czerwcowej imprezy fantastycznej.





Z dniem 1 stycznia 2011 r. obowiązują nowe przepisy dotyczące przekazywania 1% podatku na rzecz organizacji pożytku publicznego.

Ogólne zasady pozostają bez zmian, z wyjątkiem:

- wskazując wybraną przez siebie organizację pożytku publicznego podatnik nie będzie już zobowiązany podawać jej nazwy - wystarczy, że poda jej numer wpisu do Krajowego Rejestru Sądowego;
- organizacje pożytku publicznego szybciej niż dotychczas będą otrzymywały pieniądze z 1%. Od 2011 r. naczelnicy urzędów skarbowych będą obowiązani przekazywać kwoty 1% podatku na rachunek bankowy organizacji już w okresie od maja do lipca;
- podatnik składa deklarację podatkową do:
 - 31 stycznia 2011 – rozliczający się ryczałtowo
 - 2 maja 2011 – pozostali podatnicy
- korektę deklaracji podatkowej złożyć można do miesiąca (a nie dwóch, jak było poprzednio) po terminie wskazanym powyżej.

Deklaracja podatkowa (PIT) zawiera dwa pola, które są niezbędne by przekazać 1% rocznego podatku. W pola te wpisać należy:

- numer KRS organizacji tj. w przypadku GKF – **0000098018**
- przekazywaną kwotę, która nie może przekroczyć 1% podatku.

W kolejnym polu podatnik może (ale nie musi) wskazać konkretny cel, na który 1% ma zostać przekazany. Podatnik zaznacza następne pole, jeżeli chce, aby jego dane osobowe (imię nazwisko, adres, kwota 1%) zostały przez Urząd Skarbowy przesłane do OPP. W następnym polu podatnik może wpisać swoje dane dodatkowe (telefon, adres mailowy).

Nr PIT	Nr KRS	Kwota	Cel szczegółowy	Zgoda na podanie danych	Dane dodatkowe
Numery pól w deklaracji podatkowej					
28	126	127	128	129	130
36	305	306	307	308	309
36L	105	106	107	108	109
37	124	125	126	127	128
38	58	59	60	61	62
39	51	52	53	54	55



Mój pierwszy

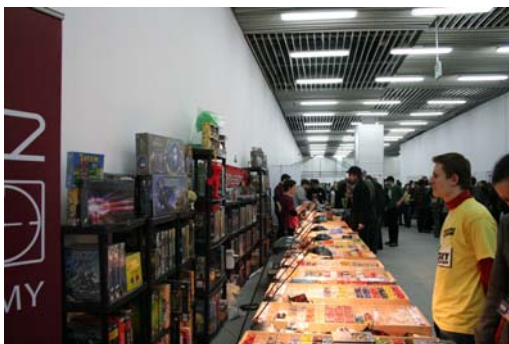


Oklepany tytuł rodem z serii „pierwszych razów”, ale zacząć mogę tylko w ten sposób. Bo taka jest prawda: w końcu zaliczyłam mój pierwszy Pyrkon. Jak to zatem było...

Zaczęło się już w magicznym pociągu, ruszającym z Gdyni o 8:28. Do godziny 9:00 ekipa trójmiejska (a było nas wielu) opuściła teren Trójmiasta. Nudzić ani spać się nie dało. W moim przedziale odbył się wesoły LARP pociągowy (obmyślony w pięć minut przez Mistrza Shamana) z mrozącym krew w żyłach morderstwem w tle. Nim się obejrzelśmy (na uciekającego mordercę) byliśmy już w Poznaniu.

Miejsce, teren Targów Poznańskich, było rzut kamieniem (lub 10 minut piechotą) od dworca. Przybyliśmy na dwie godziny przed oficjalnym rozpoczęciem konwentu, więc tłumów jeszcze nie było. Akredytacja przebiegała sprawnie przez cały czas trwania konwentu: było kilka prężnie działających stanowisk, umiejscowionych w oficjalnych kasach targowych. Wystarczyło podejść do okienka, by dostać przydział materiałów informacyjnych, identyfikator ze specjalnym kodem i opaskę. Niestety moja pierwsza opaska była zdecydowanie zbyt ciasna, więc drugiego dnia poprosiłam o nową; dostałam ją bez problemu.

Po co aż dwa sposoby identyfikacji? Po to, by za pomocą identyfikatora z kodem dostać się na teren targów, a za pomocą opaski do dwóch budynków, w których miały miejsce właściwe punkty programu. Obawiałam się, że przez takie metody ochrony będzie tłok w określonych miejscach. Jednak nie – wszystko przebiegało nad wyraz sprawnie (choć widziałam takich, którzy woleli przez barierkę przeskakiwać zamiast skanować kod).



Konwent odbywał się w dwóch budynkach. W pierwszym mieliśmy ogródek piwny (o tym później), gamesroomy, konkursy i stoiska z grami. W drugim: prelekcje, spotkania z autorami, LARPY i stoiska oferujące książki i wszelkiej maści drobnicę. Niektóre punkty programu odbywały się również w pobliskiej szkole, w której także znajdowała się noclegownia.

Dwa budynki: i dobrze, i źle. Dobrze, bo wszystko miało swoje miejsce (fani prelekcji nie wchodzili w drogę fanom grania i vice versa). Źle, bo w jednym budynku korytarze były smutnie opustoszałe, a w drugim zatłoczone (momentami nawet potwornie zatłoczone). Zdecydowanie bardziej niż tłok doskwierała ta pustka. Czasem łąpałam się na myśleniu: kurczę, konwent, a tak pusto?! Poza tym – profesjonalny wygląd głównego budynku psuł konwentowy klimat. Nawet ogródek piwny (umieszczony wewnątrz budynku) nie był w stanie naprawić klimatu.

Aby zakończyć sprawę „budynekowe” dodam jeszcze, że gamesroomy (i w ogóle cały budynek główny) były świetnie klimatyzowane, więc nawet tłok nie przeszkadzał. Natomiast sale prelekcyjno-spotkaniowe były ciasne i duszne (pomijając aule). I jeszcze jedna rzecz, którą zauważyłam, a która mi się bardzo nie spodobała: w aulach często były prowadzone spotkania, na które zjawiała się dosłownie garstka osób (czyli 3/4 krzesel zajmowały duchy). Z kolei w małych salach na 2 i 3 piętrze na wiele prelekcji przychodziły tłumy (takie tłumy, że raz musiałam po prostu zrezygnować z prelekcji, ponieważ za nic wbić się nie dało). Szkoda, że nie dało się tego zrobić na odwrót.

Program był doprawdy imponujący. Organizatorzy przygotowali ponad 600 godzin atrakcji w ośmiu ścieżkach tematycznych (w sumie mieliśmy 21 równoległych ścieżek). Mnie udało się zaliczyć najwięcej prelekcji ze wszystkich konwentów, na których dotychczas byłam, czyli całe... dziesięć. Słyszałam od wielu osób, że Pyrkon jest najlepszym konwentem w kraju. Pod względem prelekcji i programu w ogóle chyba naprawdę jest. Z żadnej, z dziesięciu prelekcji, które wybrałam, nie miałam najmniejszej ochoty wychodzić przed końcem, co niestety zdarzało mi się na innych konwentach.

Zaczęłam od skromnego, oficjalnego otwarcia konwentu, na którym Misiek, Lathea i Prezes powitali uczestników. Stamtąd trafiłam w najślabszą acz niezłą prelekcję Artura Szejtera o wszelkiej maści demonach i potworach germańskich (prelekcja byłaby bardzo dobra, gdyby autor nie odpowiadał na każde pytanie uczestników zdaniem: „O tym będzie w mojej najnowszej książce, która ukaze się już za półtora miesiąca”). Moją wyobraźnię rozbudziła Anna Brzezińska, z pasją opowiadając o wiedzmach z punktu widzenia historii.



Za najlepszą prelekcję uważam opowieść o aptekarzach, lekarzach, chorobach (dżumie, kile i ospie) i przyrządach medycznych Agnieszki „Ignite” Hałas: opowiadała o medycznych okropieństwach w tak zajmujący sposób, że nikogo z sali nie odstręczały obrzydliwe zdjęcia chorobowe towarzyszące prezentacji.

Na dwie prelekcje o tłumaczeniach Iwony Michałowskiej-Gabrych ostrzyłam pazurki jeszcze przed wyjazdem na konwent. Niestety wyszłam z nich z pewnym niedosytem. Mam wrażenie, że prelegentka mogła pójść w temat głębiej, szczególnie w przypadku omawiania rozterek i dylematów tłumacza. Uznając jednak fakt, że jestem do tematu silnie uprzedzona, biorę poprawkę na moje krytyczne spojrzenie: obie prelekcje Iwony były naprawdę dobre.

Bardzo sympatycznym elementem programu było spotkanie z Łukaszem Orbitowskim, który mówił o Bogu, opatrności i stanie polskiej literatury grozy. Zdziwiła mnie jedynie skromna publiczność. Z wywiadu z autorem „Prezesa i Kreski” trafiłam na kameralną prelekcję Krzysztofa „Hołka” Hołyńskiego na temat stowarzyszeń. Okazało się, że godzina to zdecydowanie za mało, aby omówić wszystkie tematy. To dla mnie nietypowy, ale bardzo orzeźwiający punkt programu: zejście na ziemię ze świata fikcji. Hołek w przejrzysty sposób dzielił się z nami swoją dogłębną wiedzą.

Wczesnym, niedzielnym rankiem posłuchałam o czterech modelowych sposobach podrywu według Kuby Ćwieka (przy okazji: Kuba przyobiegał napisać polski romans wampiryczny, jeśli nie uda mu się schudnąć do Polconu; Kubo, trzymamy kciuki).



Nietypowym dla mnie punktem programu, w którym wzięłam udział, był LARP. Tak naprawdę była to gra symulacyjna z elementami jeepformu o uroczym tytule „Kot Jarosława”. Dobrze, że wszystko odbywało się za zamkniętymi drzwiami. Opiszę te trzy nocne godziny tymi pojedynczymi słowami: kot, obcy, bliźniaki, knucie, spiskowanie. I jeszcze na koniec: śmiechu co niemiara.

Udało mi się również spędzić kilka godzin w ogromnym gamesroomie, którego uroki najbardziej doceniali Sław i Kane. A najwspanialszą atrakcją była dla mnie wystawa lego, na której członkowie LUGPolu zaprezentowali swoje konstrukcje. Ja też chcę lego-Rzymian!

Za jedyny i największy niewypał uważam imprezę integracyjną, która odbyła się w klubie Akumulatory. Klub blisko konwentu – świetnie. Ale ściśnięcie imprezy i cosplayu w ciasnym klubie to pomyłka. Chciałam porozmawiać z dawno niewidzianymi ludźmi przy piwie, a zamiast tego

musiałam przeciskać się pomiędzy poprzebieranymi lolitkami (może dla kogoś to frajda, ale dla mnie nie). No i okupowały ohydną toaletę. Czy można by następnym razem ten cosplay zrobić gdzieś indziej? Proszę? Za to o wiele przyjemniej było w ogródku piwnym, który znajdował się w głównym budynku konwentu: piwo za piąta, coś na ząb i kilka stolików (a ile radości).

Z dalszych, ale już pomniejszych minusów: brak sensownej noclegowni dla ludzi, którym potrzebna jest odrobina prywatności i prysznic. Był Fusion Hostel, ale ja niestety się na niego nie załapałam, przez co musiałam kawałek dojeżdżać do terenu konwentu. A minusy, które są właściwie najzwyczajszym czepiałstwem, to: cena koszulki (35zł) z cudownymi koziołkami (brawa dla projektanta za układ i kolorystykę tegorocznego logo Pyrkonu), opaski, których nie można zdjąć i trzeba się z nimi myć, ceny jadła w bufecie (wiem, wiem, to niezależne od organizatorów), za małe miejsce na wpisanie imienia na identyfikatorze i brak smyczy do tegoż.

Ten ostatni minus łączy się z moją prywatną fanaberią. Po prostu weszłam w nawyk ściągania identyfikatora (na smyczy) z szyi po powrocie do domu. Dla mnie to symboliczna chwila, w której mówię sobie: „konwent się skończył!” i chowam identyfikator do szafki. No dobrze... tym razem zdjęłam opaskę i powiedziałam: „Pyrkon się skończył”. Więc do następnego.



Joanna 'Dżoana' Kamrowska

JEEPEM W NOC

CZYLI

JEEPNIIGHT W MACIUSIU

Było trochę nerwów. Było trochę niepewności. Bo jak to, co to, z czym to się je? Czy to LARP, czy nie LARP? Fantastyka czy nie fantastyka?

Jedno trzeba przyznać: fantastycznie było z pewnością! Na imprezie można było spotkać zarówno członków GKF-u, jak i przedstawicieli Zardzewiałego Topora. Dla większości z nas spotkanie z jeepem było zupełną nowością (choć byli i tacy, którzy mieli już pewne doświadczenie w tym temacie). I jednym, i drugim bardzo się podobało. Uczestnicy wychodzili uśmiechnięci, rozemocjonowani, rozmowy toczyły się w sa-lach, na korytarzach i przed budynkiem (jak na skromne początki wiosny, wieczór był wyjątkowo ciepły). Ci, którzy nie brali udziału w jeepach, mieli okazję pograć w różnorakie planszówki (których GKF ma pod dostatkiem), więc każdy mógł wybrać, na co ma większą ochotę i znaleźć miejsce dla siebie.

Jeep form wywodzi się ze Skandynawii i w Polsce jest dość mało znany. Skojarzenia z LARPem, które nasuwają się niemal od razu, bynajmniej nie są błędne, gdyż ta forma wyrasta właśnie z LARPowej tradycji, choć istnieją też spore różnice. W jeepach kładziemy nacisk na improwizację: ważny jest nie tyle scenariusz, ile swoboda interpretacyjna, współdziałanie i tzw. bleeding – kiedy emocje postaci i osoby ją odgrywającej tworzą jedność. Zresztą w jednym jeepie postaci możemy odgrywać przeróżne, tworzyć sceny, wprowadzać własne pomysły.

Od LARPa jeepy różnią się jeszcze tym, że często fabuła znana jest nam już od samego początku – rzadko jest miejsce na tajemnice, za to nie brakuje zaskoczeń i niezwykłych rozwiązań.

W sobotę mieliśmy okazję zapoznać się z sześcioma jeepami, wśród których znaleźć można było zarówno scenariusze autorskie, jak i te proponowane przez skandynawskich ojców tej formy.

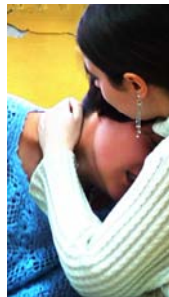
Pierwsze dwa ruszyły około 17.30 – „... i sprawiedliwość dla wszystkich”, prowadzony przez Jakuba „Mefiego” Fijałkowskiego oraz Michała „Mirage’a” Peplińskiego oraz nieco mniejszy „Happy Ends”, który (stresując się przy tym niemożebnie) miałam



przyjemność prowadzić ja sama. Ku naszej ucieście gracze byli bardzo zadowoleni.

W przerwach wszyscy posilali się herbatą i wymieniali wrażeniami. Potem odbyły się dwa kolejne: Ingiel poprowadził „Bitter Aftertaste”, natomiast Mateusz „Uhanimar” Zachciał – „Tonącą wyspę”. Dwa ostatnie prowadzili Sław („Udupić grubasa”) oraz Uhanimar („Milionerzy”). Mimo wielkich chęci, nie udało mi się zobaczyć wszystkiego (tę szansę mieli chyba tylko ci, którzy zdecydowali się pozostać obserwatorami, i mogli krażyć pomiędzy salami). Jednak widać było wyraźnie, że jeepy nie są formami lekkimi, skłaniają do zastanowienia

i nieraz przerażają tkwiącą w nich goryczą. Dobrym przykładem może być „Bitter Aftertaste”, opowiadający o dwojgu zakochanych, których absurdatne lęki (nierzadko podpowiadane przez publiczność i współgraczy) doprowadzają w końcu do zerwania. „Udupić grubasa” natomiast porusza problem nietolerancji dla inności i bezmyślnego okrucieństwa.



Jeepowych scenariuszy, i tych wesołych, i tych smutnych jest całkiem sporo, dlatego mam nadzieję, że na podobnych wydarzeniach będziemy się spotykać częściej. Mawia się, że „pierwsze koty za płoty”, ale te koty bez wątpienia były udane. A więc wołam wielkim głosem: chcę jeszcze!

Karolina Majcher



NABYTKI BIBLIOTEKI GKF

Zakup książek styczeń - marzec 2011

Antologia	Wielka księga fantastycznego humoru t1
Antologia	Wielka księga fantasy
Antologia	Wielka księga science fiction
Bacigalupi Paolo	Nakręcana dziewczyna. Pompa numer sześć
Bunch Chris	Podłe światy
Carey Jacqueline	Potomek Kusziela
Cichowlas Robert, Kyrz Kazimierz Jr	Efemeryda
Clarke Arthur C.	Imperialna Ziemia
Collins Suzanne	Kosogłos
Cornwell Bernard	Excalibur
Del Toro Mark	Rzeczy niekształtne
Downum Amanda	Kroniki nekromantki. Tonące miasto
Elliot Kate	Korona gwiazd t4. Dziecko płomienia
Green Simon R.	Coś z Nightside
Griffin Kate	Szaleństwo aniołów
Hamilton Laurell K.	Całopalne ofiary
Harris Charlaïne	Grobowa tajemnica
Harrison John M.	Nova Swing
Hieber Leanne Renee	Dziwna i piękna opowieść o Percy Parker
Huberath Marek S.	Vatran Auraio
Karpyshyn Drew	Mass Effect. Odwet
Marcus Michael	Podróż Turila
Nicholson William	Ognisty wiatr t3. Pieśń ognia
Pierumow Nik	Aliedora
Piskorski Krzysztof	Krawędź czasu
Pjankowa Karina	Z miłości do prawdy
Rajaniemi Hannu	Kwantowy złodziej
Rees Rod	Demi-Monde. Zima
Resnick Mike	Starship t5. Okręt flagowy
Sanderson Brandon	Bohater wieków
Sawyer Robert J.	Futurospekcja
Stross Charles	Szklany dom
Szkołnikowa Wiera	Namiestniczka t1.
Tołstoj Tatiana	Kyś
Troisi Licia	Dziedziczka smoka t2. Drzewo Idhnu
Troisi Licia	Dziedziczka smoka t3. Klepsydra Aldibaha
Troisi Licia	Legendy Świata Wynurzonego t1. Przeznaczenie Adhary
Vandermeer Jeff	Finch
Weeks Brent	Czarny przymat
Weis Margaret, Hickman Tracy	Dragonships t2. Tajemnica smoka
Żamboch Miroslav, Procházka Jiří W.	Agent JFK t3. Miecz i tomahawk



Darowizny styczeń - marzec 2011

Flanagan John	Zwiadowcy t6. Oblężenie Macindaw
Zelazny Roger	Książę chaosu
Grundkowski Jerzy	Śmierć w kosmosie
Turner Michael, Weems Joe	Tomb Raider/Witchblade (komiks)

ZAPOWIEDZI WYDAWNICZE

Uzupełnienie kwietnia 2011

DZIEDZICTWO KRWI (LOVER ENSHRINED) – J.R. WARD

Wydawca: Videograf II. Data wydania: 4 kwietnia 2011

FLOTA ŚWIATÓW (FLEET OF WORLDS) – LARRY NIVEN, EDWARD M. LERNER

Wydawca: Solaris. Data wydania: 4 kwietnia 2011

JUTRO (TOMORROW, WHEN THE WAR BEGAN) – JOHN MARSDEN

Wydawca: Znak. Data wydania: 4 kwietnia 2011

CÓRKA BURZY (STORM BORN) – RICHELLE MEAD

Wydawca: Amber. Data wydania: 5 kwietnia 2011

DOTKNIĘCIE MROKU (SEDUCED BY MOONLIGHT) – LAUREL K. HAMILTON

Wydawca: Zysk i S-ka. Data wydania: 5 kwietnia 2011

LEWIATAN (LEVIATHAN) – SCOTT WESTERFELD

Wydawca: Rebis. Data wydania: 5 kwietnia 2011

SCHIZMĄ ROZDARCI (BY SCHISM RENT ASUNDER) – DAVID WEBER

Wydawca: Rebis. Data wydania: 5 kwietnia 2011

WAMPIRY Z MORGANVILLE. KSIĘGA 5 (GHOST TOWN) – RACHEL CAINE

Wydawca: Amber. Data wydania: 5 kwietnia 2011

WILCZY AMULET (WOLF'S CROSS) – S.A. SWANN

Wydawca: Prószyński i S-ka. Data wydania: 5 kwietnia 2011

THE CZART SHOW – JAKUB GÓRALCZYK

Wydawca: Nobile Verbum. Data wydania: 5 kwiecień 2011

KLEMENS I KAPITAN ZŁO – PIOTR ROGOŻA

Wydawca: Powergraph. Data wydania: 6 kwietnia 2011

OGNISTA (FIRELIGHT) – SOPHIE JORDAN

Wydawca: Bukowy Las. Data wydania: 6 kwietnia 2011

NIEZWYCIĘŻONY (INVINCIBLE) – TROY DENNING

Wydawca: Amber. Data wydania: 7 kwietnia 2011

MARTWE JEZIORO – MARCIN MORTKA

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: 8 kwietnia 2011

SAMOZWANIEC. TOM I – JACEK KOMUDA

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: 8 kwietnia 2011 Wznowienie

SŁUGA BOŻY – JACEK PIEKARA

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: 8 kwietnia 2011 Wznowienie

WIELKA KSIĘGA EKSTREMALNEGO SF. TOM 1 (THE MAMMOTH BOOK OF EXTREME SCIENCE FICTION)

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: 8 kwietnia 2011

ZAGADKA KUBY ROZPRUWACZA – ANDRZEJ PILIPIUK

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: 8 kwietnia 2011 Wznowienie

ŚWIETLISTE CIENIE (RADIANT SHADOWS) – MELISSA MARR

Wydawca: Nasza Księgarnia. Data wydania: 11 kwietnia 2011

GRA O TRON (A GAME OF THRONES) – GEORGE R.R. MARTIN

Wydawca: Zysk i S-ka. Data wydania: 12 kwietnia 2011 Wznowienie

MIŁOŚĆ KAŚA (LOVE BITES) – ADRIENNE BARBEAU

Wydawca: Rebis. Data wydania: 12 kwietnia 2011

RADLEYOWIE (THE RADLEYS) – MATT HAIG

Wydawca: Świat Książki. Data wydania: 13 kwietnia 2011

RYCERZ CIEMNOŚCI (KNIGHT OF DARKNESS) – SHERRILYN KENYON

Wydawca: Amber. Data wydania: 14 kwietnia 2011



WELON PÓŁNOCY (VEIL OF MIDNIGHT) – LARA ADRIAN

Wydawca: Amber. Data wydania: 14 kwietnia 2011

2586 KROKÓW – ANDRZEJ PILIPIUK

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: 15 kwietnia 2011 Wznowienie

BEZ LITOŚCI (BEZ SLITOVÁNÍ) – MIROSLAV ŽAMBOCH

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: 15 kwietnia 2011 Wznowienie

DOTYK MROKU – DOROTA WIECZOREK

Wydawca: Zielona Sowa. Data wydania: 15 kwietnia 2011

FLASHBACK 2. OKRADZONY ŚWIAT – EUGENIUSZ DĘBSKI

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: 15 kwietnia 2011 Wznowienie

KONIASZ. WILK SAMOTNIK. TOM I (KONIAŠ. VLK SAMOTÁŘ) – MIROSLAV ŽAMBOCH

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: 15 kwietnia 2011 Wznowienie

PAMIĘTNIKI WAMPIRÓW. KSIĘGA 4 (MIDNIGHT) – L.J. SMITH

Wydawca: Amber. Data wydania: 17 kwietnia 2011

DZIEŃ GNIEWU (THE RECKONING) – THOMAS E. SNEGOSKI

Wydawca: Jaguar. Data wydania: 18 kwietnia 2011

BŁĘKITNA MIŁOŚĆ (SMALL BLUE THING) – S.C. RANSOM

Wydawca: Amber. Data wydania: 19 kwietnia 2011

PAMIĘTNIKI WAMPIRÓW. KSIĘGA 5 (MIDNIGHT) – L.J. SMITH

Wydawca: Amber. Data wydania: 19 kwietnia 2011

PRZEBUDZENI (RETRIBUTION FALLS) – CHRIS WOODING

Wydawca: Amber. Data wydania: 19 kwietnia 2011

DZIKI PŁOMIEŃ (A WILD LIGHT) – MARJORIE M. LIU

Wydawca: Amber. Data wydania: 21 kwietnia 2011

ENCYKLOPEDIA DUCHÓW & DEMONÓW (DEATH GODS: AN ENCYCLOPEDIA OF THE RULERS, EVIL SPIRITS, AND GEOGRAPHIES OF THE DEAD) – ERNEST ABEL

Wydawca: Bellona. Data wydania: 21 kwietnia 2011

PROROCSTWO WYGNANYCH MAGÓW (THE DOUBLE-EDGED SWORD) – SARAH SILVERWOOD

Wydawca: Amber. Data wydania: 21 kwietnia 2011

EWANGELIA WEDŁUG HERODA – MARCIN WOLSKI

Wydawca: Wydawnictwo M. Data wydania: 24 kwiecień 2011

PIESZCZOTA NOCY (A CARESS OF TWILIGHT) – LAUREL K. HAMILTON

Wydawca: Zysk i S-ka. Data wydania: 26 kwietnia 2011 Wznowienie

ACHAJA. TOM II – ANDRZEJ ZIEMIAŃSKI

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: kwiecień 2011 Wznowienie

DEMON PRYWATNY – MACIEJ ŻYTOWIECKI

Wydawca: Ifryt. Data wydania: kwiecień 2011

DOLINA KONI (THE VALLEY OF HORSES) – JEAN M. AUÉL

Wydawca: Zysk i S-ka. Data wydania: kwiecień 2011 Wznowienie

FILARY ŚWIATA (THE PILLARS OF CREATION) – TERRY GOODKIND

Wydawca: Rebis. Data wydania: kwiecień 2011 Wznowienie

KRÓLOWA NIEWOLNIKÓW (CROWN OF SLAVES) – DAVID WEBER, ERIC FLINT

Wydawca: Rebis. Data wydania: kwiecień 2011 Wznowienie

STO ŚWIATÓW (100 CUPBOARDS) – N.D. WILSON

Wydawca: Jaguar. Data wydania: kwiecień 2011

SZKOŁA OGNI (SCHOOL OF FIRE) – DAVID SHERMAN, DAN CRAGG

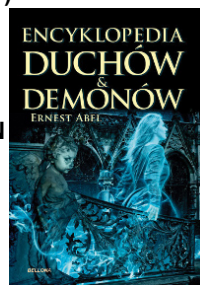
Wydawca: Dwójka Bez Sternika. Data wydania: kwiecień 2011

TROLL ZAŁŁADY (THE APOCALYPSE TROLL) – DAVID WEBER

Wydawca: Rebis. Data wydania: kwiecień 2011

WSZYSTKIE JUTRA (ALL TOMORROW'S PARTIES) – WILLIAM GIBSON

Wydawca: Książnica. Data wydania: kwiecień 2011



WYPRAWA DUSZKOLUDKA (THE FAEMAN QUEST) – HERBIE BRENNAN

Wydawca: Rebis. Data wydania: kwiecień 2011

ISTOTY ŚWIATŁA I CIEMNOŚCI – SIMON R. GREEN

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: kwiecień 2011

ZIMA MEJ DUSZY – MARCIN PAŃGOWSKI

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: kwiecień 2011

WIELKA KSIĘGA EKSTREMALNEGO SF. TOM 2 (THE MAMMOTH BOOK OF EXTREME SCIENCE FICTION)

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: kwiecień 2011

Bardzo wstępnie maj 2011**Z CIEMNOŚCIĄ JEJ DO TWARZY (DARKNESS BECOMES HER) – KELLY KEATON**

Wydawca: Znak. Data wydania: 2 maja 2011

ŁOTR (THE ROGUE) – TRUDI CANAVAN

Wydawca: Galeria Książki. Data wydania: 4 maja 2011

ODWET (THE RECKONING) – KELLEY ARMSTRONG

Wydawca: Zysk i S-ka. Data wydania: 4 maja 2011

CÓRKI KSIĘŻYCA. TOM 1 (GODDESS OF THE NIGHT. INTO THE COLD FIRE) – LYNNE EWING

Wydawca: Jaguar. Data wydania: 18 maja 2011

CZARNA BEZGWIEZDZNA NOC (FULL DARK, NO STARS) – STEPHEN KING

Wydawca: Albatros – Andrzej Kuryłowicz. Data wydania: 18 maja 2011

MIASTO UPADŁYCH ANIOŁÓW (CITY OF FALLEN ANGELS) – CASSANDRA CLARE

Wydawca: MAG. Data wydania: 18 maja 2011

SYRENA (SIREN) – TRICIA RAYBURN

Wydawca: Wydawnictwo Dolnośląskie. Data wydania: 18 maja 2011

POWOŁANIE (BRIGHID'S QUEST) – P.C. CAST

Wydawca: Mira. Data wydania: 20 maja 2011

RAKIETOWE SZLAKI. TOM 1

Wydawca: Solaris. Data wydania: 25 maja 2011

SZLAK SKARABEUSZA (THE SCARAB PATH) – ADRIAN TCHAIKOVSKY

Wydawca: Rebis. Data wydania: 25 maja 2011

ADAMANTYNOWA TWIERDZA (THE ADAMANTINE PALACE) – STEPHEN DEAS

Wydawca: Dwójka Bez Sternika. Data wydania: maj 2011

ANIOŁ ZEMSTY (LOVER AVENGED) – J.R. WARD

Wydawca: Videograf II. Data wydania: maj 2011

FRONT BURZOWY (STORM FRONT) – JIM BUTCHER

Wydawca: MAG. Data wydania: maj 2011

ISTOTY CIEMNOŚCI (BEAUTIFUL DARKNESS) – KAMI GARCIA, MARGARET STOHL

Wydawca: Łyński Kamień. Data wydania: maj 2011

ŁASKA UTRACONA (THE LOST SAINT) – BREE DESPAIN

Wydawca: Galeria Książki. Data wydania: maj 2011

NAMIESTNICZKA. KSIĘGA II – WIERA SZKOLNIKOWA

Wydawca: Prószyński i S-ka. Data wydania: maj 2011

WEZWANIE ZIEMI (THE CALL OF EARTH) – ORSON SCOTT CARD

Wydawca: Prószyński i S-ka. Data wydania: maj 2011

WIĘZIEŃ UKŁADU – ALAK AKAB

Wydawca: Ifryt. Data wydania: maj 2011

W PÓŁNOC SIĘ ODZIEJĘ (I SHALL WEAR MIDNIGHT) – TERRY PRATCHETT

Wydawca: Prószyński i S-ka. Data wydania: maj 2011

Na podstawie serwisów:
Esensja.pl, Katedra.nast.pl,
Solarisnet.pl
przygotował *Janusz Piszczek*



A MÓWIŁ, ŻE „KLUB JEST NAJWAŻNIEJSZY”...
 ...nie możemy się domyśleć, że Tommaso H. G. Sili nie powinien być w mediach...
WŚCIE Z WIKILEAKS:
GWIEZDNE WROTA ISTNIEJĄ!
GTW W GKF

GIĘKAEFOWSKI TABLOID

Numer 263 naszego „Informatora” był prima-aprilisowym żartem. Jeżeli ktoś ze stałych Czytelników nie ma go w swoich zbiorach – zapraszamy na klubową stronę w Internecie!

red.

POTTER MUZEALNY

Wiosną przyszłego roku, z inicjatywy Warner Bros, w Wielkiej Brytanii zostanie otwarte Muzeum Harry’ego Pottera.

wg: www.wbstudiotour.co.uk

BARBARZYŃCA NABIERA CIAŁA

Wchodząca w sierpniu tego roku na srebrne ekrany nowa wersja filmu o wyczynach legendarnego herosa doczekała się pierwszego traileru.

wg: www.gildia.pl



WSPÓNIE ZASZALEJA

Tom Cruise podpisał kontrakt na udział w najnowszym dziele Guillerma del Toro: ekranizacji powieści Howarda Phillipsa Lovecrafta *W górach szaleństwa*. To opowieść o polar-nikach, którzy na Antarktydzie odkrywają groby przedstawicieli nieznannej cywilizacji. Za produkcję filmu, który zrealizowany zostanie w technologii 3D, odpowiada James Cameron. Pierw-szy klaps w czerwcu.

wg: www.gildia.pl



UWAGA NA KLACZKI!

W listopadzie czeka nas powrót, znanego ze II-IV części *Shreka*, Kota w Butach; do kin trafi wtedy bowiem od dawna zapowiadany spin-off serii.

wg: www.gildia.pl

HIT WŁOSKIEJ FANTASY W POLSCE

Pod koniec kwietnia wydawnictwo Esprit wprowadzi do księgarń pierwszy tom trylogii fantasy *Hyperversum* włoskiej autorki Cecilii Randall. Sprzedaż wszystkich trzech części przekroczyła we Włoszech 1,5 mln egzemplarzy.

wg: www.gildia.pl

GWIAZDY MAJEWSKIEGO (I NIE TYLKO!) W POLSCE

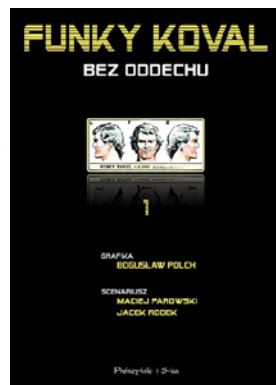
Z okazji polskiej premiery niezwykle filmowego obrazu *Młyn i krzyż* – w naszym kraju gościli Charlotte Rampling i Rutger Hauer.

jpp

FUNKY BIBLIOFILSKI ORAZ TRÓJWYMIAROWY

Wydawnictwo Prószyński i S-ka postanowiło przywrócić dystrybucji serię komiksową o Funky'm Kovalu. Premiera pierwszego tomu w edycji kolekcjonerskiej (*Bez oddechu*) miała miejsce pod koniec marca. Zza oceanu dochodzą natomiast słuchy, że ekranizacja opowieści o kosmicznym detektywie planowana jest w technice 3D.

wg: www.komiks.nast.pl



WZLOTY I UPADKI CZŁOWIEKA-PAJĄKA

„Amazing Fantasy” 15 z sierpnia 1962 r. – czyli pierwszy komiks, w którym pojawił się Spider-Man – został sprzedany na aukcji w USA za 1,1 miliona dolarów (pół wieku temu zeszyt ten kosztował w sklepie 12 centów). Z kolei premiera pechowego musicalu *Spider-Man* została po raz kolejny przesunięta. Jeśli spektakl nie znajdzie się na afiszu – będzie to najdroższa kłapa w historii Broadwayu.

jpp



POŻEGNANIE „MAGAZYNU FANTASTYCZNEGO”

W sprzedaży jest dostępny podwójny, a zarazem niestety ostatni, numer „Magazynu Fantastycznego” 1(21)2011. Odnotaliśmy w niusach powstanie tego periodyku oraz wzmiankę o *Wampiors Wars* w artykule o polskim undergroundzie – z tym większym smutkiem zamieszczamy więc tę informację.

red.

PO DUBELTOWYM KATAKLIZMIE W JAPONII

Trzęsienie ziemi oraz fala tsunami spowodowały m.in. zmiany w osi naszej planety oraz w jej obrotach, przesunięcie wyspy, ogromne straty w ludziach i infrastrukturze oraz jedną w największych awarii w historii energetyki jądrowej. O ile zmiany osi Ziemi nie są, wbrew pozorom, czymś nadzwyczajnym – to skutki radioaktywnych wycieków ocenimy zapewne z perspektywy najbliższych lat.

jpp

NOWA PRZYGODA BIAŁEGO WILKA

W związku ze światową premierą gry *Wiedźmin 2: Zabójcy królów* wydawnictwo Egmont Polska wyda czasopismo „Komiksowe Hity – Wiedźmin”; na jego łamach premierę będzie miał komiks *Racja Stanu* autorstwa Michała Gałka (scenariusz) oraz Arkadiusza Klimka i Łukasza Pollera (rysunki). Publikacja zaplanowana jest na koniec kwietnia, blisko miesiąc przed światową premierą gry. Druga część komiksu ukaże się w kolejnym zeszycie (czerwiec br.). Strony redakcyjne pisma będą dotyczyć fenomenu Wiedźmina. Znajdą się na nich artykuły o Andrzej Sapkowskim, materiały przybliżające kulisy powstawania tego komiksu, plakaty itp.; gracze będą mogli również zapoznać się z informacjami dotyczącymi samej gry.

wg: www.gildia.pl

FESTIWALE NAUKI

Kolejne edycje imprez promujących tę tematykę odbywają się wiosną w wielu polskich miastach (m.in. Poznań, Katowice, Łódź, Toruń, Kraków, Trójmiasto).

jpp

MERKURY OBSERWOWANY Z ORBITY

Wysłana przez NASA sonda Messenger, po siedmioletniej podróży, weszła w marcu, jako pierwsza w historii, na orbitę Merkurgo.

jpp



NOWE I PIĘCIOTOMOWE

Na 2011 r. wydawnictwo Solaris zapowiedziało wydanie nowej antologii o tytule *Rakietowe szlaki*. Z poprzednimi – najdosłowniej kultowymi i legendarnymi – antologiami będzie miała ona wspólny tylko tytuł i parę opowiadań. Zawartości dwóch pierwszych tomów będą diametralnie różniły się od starych wydań. Ich redaktorem jest Lech Jęczmyk, który kompilację stworzył na bazie tekstów z prasy – i są to przeważnie też jego przekłady, z angielskiego i rosyjskiego. Redaktorem kolejnych trzech tomów jest Wojciech Sedeńko; znajdują się w nich równie doskonałe teksty, znane z prasy lub w ogóle nie publikowane w Polsce – nie tylko opowiadania, ale też mikropowieści.

wg: www.gildia.pl



WRESZCIE KTOŚ O TYM POMYŚLAŁ

Rebis zdecydował się wydać najważniejsze książki Philipa K. Dicka – w jednolitej typograficznie serii: w twardej oprawie z grafikami Wojciecha Siudmaka.

wg: www.gildia.pl

NIE TYLKO ALFRED

Michael Gough – aktor, który w cztero-częściowej wersji kinowej grał kamerdynera Batmana – zmarł 17 marca w wieku 94 lat.

Jego kariera aktorska nabrała tempa w momencie, gdy zagrał jedną z głównych ról w brytyjskim serialu *Doctor Who* oraz ekranizacjach *Upiora w Operze* i *Drakuli*.

wg: www.gildia.pl



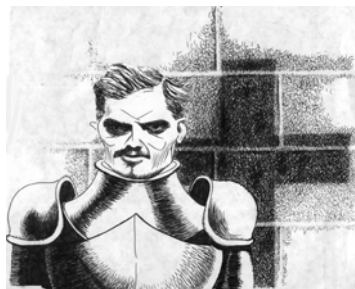
RODZI SIĘ KOLEJNA „ANATOMIA FANTASTYKI”

Tym razem jest to praca Konrada Dziadkowiaka – będąca studium teologiczno-literackim twórczości Tolkiena. Autor skupił się na konotacjach biblijnych *Silmarillionu* i *Władcy Pierścieni* oraz na stosunku Profesora do literackiej baśni.

red.

Okruchy Ogana

Korespondencja nr 19



O Czarnym Czwartku przed czarną sobotą

Czarny Czwartek. Janek Wiśniewski padł Antoniego Krauzego to film, który wzbudził sporo kontrowersji. Z jednej strony – tej bardziej prawicowej – słysząc głównie głosy zachwyty; z drugiej – nie zawsze przeciwnej – płyną liczne zastrzeżenia zwłaszcza do formalnej warstwy obrazu. Kiedy oglądałem go w kinie, nie dostrzegłem żadnych scenariuszowo-reżyserskich potknięć, nie raziła mnie także gra aktorska i po tych kilkunastu dniach od seansu nadal takich słabości nie widzę.

Ciężko, naprawdę ciężko, pisać mi o tym filmie, bo rany, których ta historia dotyka, do dzisiaj się nie zablizniły, a osoby, które do tej tragedii doprowadziły i dożyły wolnej Polski, wciąż pozostają nieosądzone i – choćby symbolicznie – nieukarane. I proszę nie mówić, że przemawia przeze mnie żądza odwetu czy inne niskie uczucia. To prawo i sprawiedliwość – a zatem fundamenty każdego demokratycznego ustroju – domagają się, aby ci, przez których zginęli niewinni ludzie, ponieśli zasłużoną karę. Nie potrafię pisać o tej grudniowej masakrze ze spokojem również dlatego, że od 10 lat przejeżdżam koło gdyńskiej stoczni i co roku 17 grudnia widzę palące się znicze wzdłuż drogi, którą w 1970 roku robotnicy chcieli z peronu kolejki dostać się do swoich zakładów. Na szczęście w Gdyni nikt nie wpadł jeszcze na pomysł, by sprzątać je zaraz po zakończeniu oficjalnych uroczystości pod pomnikiem.

Czarny Czwartek to opowieść o zwyczajnym pracowniku portowym Brunonie Drywie, który wraz z rodziną przeniósł się z kaszubskiej miejsciny do mieszkania w gdyńskim bloku. Drywowie mają swoje marzenia (spłacić szybko mieszkanie, znaleźć lepszą pracę) i smartwienia (brakuje im mebli, nawet pralkę „Franię” pożyczają od

sąsiadki na godziny). Polityka ich w ogóle nie interesuje. Strajki wywołane decyzją o podwyżkach cen żywności są dla nich okazją do tego, aby dłużej być razem. Drywa nie uczestniczy w żadnych wiecach, jest biernym obserwatorem tych wydarzeń – i na dobrą sprawę wie tyle, ile powiedzą w radio czy w telewizji (a zatem niewiele) lub co usłyszy od lepiej zorientowanego sąsiada. Na wezwanie wicepremiera Kociołka reaguje tak, jak większość pracowników: wsiada rano do kolejki i jedzie do pracy. A droga do stoczni i do portu jest już w tym czasie zamknięta przez czołgi i wojsko, które ma rozkaz użyć ostrej amunicji (film sugeruje, że ta tragedia była prowokacją – ulotki z kłamliwym opisem gdyńskich wydarzeń zostały wydrukowane, zanim do nich doszło).

Od tego momentu film staje się przejmującym zapisem zbrodni i – choć dobrze wiedziałem, co musi się stać – parokrotnie wzruszenie dosłownie mnie zatykało. Takiego wrażenia nie wywarł na mnie nawet *Katyrń*, mimo że scena egzekucji jest w nim nie mniej sugestywna. Co innego oglądać jednak, jak polskich żołnierzy mordują z zimną krwią wrogowie, a co innego patrzeć, jak polscy żołnierze (a potem także milicjanci) masakrują polskich robotników i młodzież szkolną (najmłodsza ofiara Grudnia w Gdyni miała 15 lat!). *Czarny Czwartek* powinni obowiązkowo obejrzeć wszyscy ci, którzy wciąż jeszcze zemstą nazywają domaganie się sprawiedliwości za to, co komuniści wyrządzili polskiemu społeczeństwu w latach 1939–1989. Bo *zaiste* [w niczyjej nie jest] *mocy przebaczać w imieniu tych których zdradzono o świecie!*

Film Krauzego nie ogranicza się jednak tylko do wątku Drywy (jego nazwisko jest pierwsze na tablicy poległych przy gdyńskim pomniku

Ofiar Grudnia). Nie udźwignąłby on 100 minut emisji. Przyglądamy się zatem między innymi zachowaniu gdyńskich stoczniovców, którzy – odwrotnie niż gdańscy – nie demolowali miasta, nie palili komitetów i pragnęli porozumieć się z komunistyczną władzą na drodze negocjacji. I właśnie za ten spokój i za to, że się potrafili zorganizować i utrzymać porządek w swoich szeregach, poznali karzącą rękę partii (zupełnie, jak w balladzie Młynarskiego o dwóch koniach: w niej także ciągi dostawał tylko ten posłuszny). Oglądamy też partyjne egzekutywy i spotkanie PZPR-owskiej wierchuszki z Gomułką, Cyrankiewiczem, Kliszką i Moczarem na czele. Pokazują one dobitnie, jak komunistyczna władza wyalienowana była ze społeczeństwa, którym rządziła. Te tyrady o „rozregulowanej busoli ideologicznej” trójmiejskich sekretarzy, którzy chcieli dogadywać się z załogami i mądrości w stylu: „z kontrrewolucją się nie rozmawia, do kontrrewolucji się strzela” budziłyby pusty śmiech – gdyby nie to, że ludzie naprawdę zginęli. W trakcie wspomnianej narady mamy także pokaz tego, jak działała peerelowska propaganda: przypadkowo postrzelony chłopak w komunikatach MSW odczytywanych przez Moczara okazuje się groźnym podżegaczem; członkowie biura politycznego zastanawiający się nad tym, jak przedstawiać w mediach „wypadki” na Wybrzeżu są z miejsca gaszeni przez Gomułkę, który decyduje, że się o nich raczej informować społeczeństwa nie będzie. Niby to wszystko nie jest odkrywcze i z tymi metodami sam miałem się okazję zaznajomić, ale zobaczenie ich w filmie pokazuje wyraźnie małość i podłość tamtego systemu. Jeśli czegoś w tym filmie brakuje, to może tylko narad dowództwa wojska i milicji – bezpośrednich sprawców masakry.

Piszę o *Czarnym Czwartku* do kwietniowego numeru „Informatora” nieprzypadkowo, bo widzę pewne podobieństwa między zbrodnią sprzed ponad 40 lat a ubiegłoroczną tragiczną katastrofą pod Smoleńskiem. Oczywiście nie w sferze materialnej (przeprowadzonego z zimną krwią mord), ale raczej związanej z emocjami. Deptanie godności, poniżanie, odmawianie prawa do udziału w debacie publicznej i relegowanie z wiodących mediów tematu smoleńskiego to są sprawdzone ubeckie metody, twórczo rozwijane przez współczesnych pijarów. Śmierć Lecha Kaczyńskiego i 95



towarzyszących mu osób zapoczątkowała prawdziwą czystkę dziennikarzy o prawicowych i konserwatywnych poglądach z mediów elektronicznych, że o próbie osłabienia instytucji badających powojenną historię Polski (IPN) z litości dla PO nie wspomnę. Wszystko to po to, by już nikt nie zakłócał wykreowanej przez salon narracji skierowanej do tzw. młodych, wykształconych z wielkich miast. Ale nie tylko do nich.

W najnowszym numerze Almanachu Tolkienowskiego „Aiglos” (więcej na jego temat za miesiąc) pisze Andrzej Kowalski o obecnej sytuacji w Polsce, że jest ona wynikiem nienawiści „pomiędzy tymi, którzy zdobyli wykształcenie, pozycję zawodową, sukces materialny i dla których świat stoi otworem – a pomiędzy tymi, którzy czują się odrzuceni, bo chcieliby tylko trwać bez jakiegokolwiek wysiłku”. I aż przykro to czytać, tyle w tym jednym zdaniu przekłamań i fałszywych stereotypów. Przede wszystkim wykształcenie wcale nie daje pozycji zawodowej, a już na pewno sukcesu materialnego. Wśród wykluczonych nie brakuje osób z wyższym wykształceniem, co pokazują chociażby badania bezrobocia. Ci zaś, którzy chcą tylko trwać, potrafią poprzestać na małym

odmawiają udziału w wyścigu szczurów, nie wchodząc w drogę karierowiczom. Istotą konfliktu polsko-polskiego jest różne pojmowanie sprawiedliwości. Pokazała to m.in. sprawa harcerskiego krzyża – po stronie jego obrońców, obok moherów, pojawiło się też trochę młodych wykształconych warszawiaków. Ci, którzy bronili (i nadal bronią) dobrego imienia Lecha Kaczyńskiego (a w awanturze o krzyż – to o pamięć o śp. prezydencie chodzi!), zapewne nie godzą się także na nazywanie Kiszczaka „człowiekiem honoru”, picie bruderszaftów z Jaruzelskim i zapraszanie go na posiedzenia RBN. Nie pomyślę się zapewne, jeśli założę, że są również zwolennikami osądzenia sprawców masakr robotników na Wybrzeżu w roku 1970 oraz zbrodni stanu wojennego, który Trybunał Konstytucyjny uznał w końcu za nielegalny (to niestety jedyny sukces wymiaru sprawiedliwości RP na drodze usuwania trupów z szaf naszych pookragostolowych elit).

Nienawiść, o której pisze Kowalski, jest funkcją frustracji wynikającej z tego, że poczuciu sprawiedliwości wielu Polaków (w tym moim) nie stało się zadość; a nie stało się, bo są z nią sprzeczne czyjeś interesy. A także i dlatego, że pewne poglądy są w Polsce niemiłe widziane i albo się nauczymy kochać Polskę taką, jaka jest, albo... No właśnie, co? Jaką rząd ma alternatywę dla tych paru milionów niewyuczalnych? Że też takich pieskich czasów dożyłem, iż nawet z odzyskanej wolności muszę się cieszyć, by być

uznanym za dobrego obywatela. A ja po prostu chciałbym się z niej cieszyć, tylko jakoś tak na rozkaz nie potrafię...

No dobra... Wszedłem już na tak wysokie diapazony, że jeszcze chwila i pękne jak Półpanek w *O krasnoludkach i sierotce Marysi*. Wylewanie żółci kończę więc konstruktywnie, bo – jak mawia mój firmowy kolega z działu marketingu – każdą sprawę należy pokazywać odbiorcom w perspektywie korzyści. Oglądanie filmu Krauzego może być dla fanów z GKF, zwłaszcza tych z dłuższym stażem, okazją do innych niż patriotyczno-martyrologiczne wzruszeń. Otóż drugoplanową rolę w tym filmie zagrał nasz były klubowy kolega Wojciech „Termoz” Tremiszewski (znany także z kabaretu Limo oraz serialu tv „Spadkobiercy” – znakomity w roli Warrena, „przyjaciela wszystkich”). No to już teraz wiecie, że to nie przelewki, i że obecność na *Czarnym Czwartku* obowiązkowa!



Sen o królestwie

Jean Raspail, francuski pisarz, podróżnik i konsekwentny popularyzator idei monarchicznej, był już przeze mnie wielokrotnie komplementowany. Nie inaczej będzie i tym razem.

Powieść *Ja, Antoni de Tounens, król Patagonii* (1981, wyd. polskie 2008) została nagrodzona Grand Prix du Roman Akademii Francuskiej. Opowiada ona o żyjącym w XIX wieku francuskim prawniku i podróżniku, który uznał się za potomka książęcego rodu i pod wpływem wspomnień słynnych podróżników zapragnął powołać w Południowej Ameryce francuską kolonię, której byłby królem. Raspail sięgnął nie tylko do pamiętników de Tounensa (postaci tyleż barwnej, co tragicznej, a chwilami żalostnej), ale także do dokumentów epoki. Przekuł to wszystko w pasjonującą opowieść

o marzeniach i cenie, jaką za próbę ich urzeczywistnienia płaci ktoś, kogo one przerastają. Tounens bowiem na początku nawet nie zdaje sobie sprawy, jak dalece jego zamierzenia są nierealne – i nie przyjmuje dobrych rad niezliczonych przyjaciół, którzy pragną go uratować przed niechybną katastrofą. Niestety, otrzeźwienie przychodzi zbyt późno, a kilkakrotne próby objęcia tronu Araukanii i Patagonii kończą się dla niego coraz większymi upokorzeniami. Pewną pociechą są spotykani co jakiś czas podobni jemu zapaleńcy (i podobni jemu nieudacznicy), ale częściej natrafia na cyników, którzy dobrze się bawią jego kosztem (przy pierwszej próbie podboju Patagonii był on jeszcze człowiekiem względnie majątnym, choć pieniądze zdobył likwidując swoją kancelarię i naciągając brata na

kredyt pod zastaw spłachetka ziemi, który swoim potomkom zostawił ich ojciec).

Lektura *Króla Patagonii* wywoływała we mnie co rusz uczucie litości. No bo jakżeż można być do tego stopnia opętanym marzeniami, by nie widzieć ani własnej śmieszności, ani nie zdawać sobie sprawy, że zrealizowanie tak szalonych planów jest niemożliwe. Antoni de Tounens był jednak nieodrodnym synem epoki romantyzmu, w której kpiący z bohaterów los niejednokrotnie wzywał ich do bycia wielkimi. Tyle że nieszczęsny król Patagonii nie miał żadnych – poza urojonymi – predyspozycji do sprostaną temu wyzwaniu. Co jednak ciekawe: założona przez niego dynastia Araukanii i Patagonii istnieje do dzisiaj, mimo że od 1881 roku ziemie królestwa zostały podzielone między Chile i Argentynę. W roku ubiegłym świętowano 150 rocznicę obwołania królem Aureliusza Antoniego I, a w tym roku obchodzone jest 60-lecie wstąpienia na tron księcia Filipa.

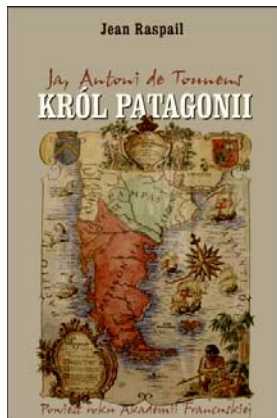
Żeby być jednak sprawiedliwym – kłeska de Tounensa była wynikiem nie tylko jego naiwnej wiary w nieodpartą siłę własnych argumentów (no, bo dlaczego Francja nie miałaby zainwestować w zdobycie nowej kolonii, która mogłaby być dla niej – w jego mniemaniu – żyłą złotą). Równie niesprzyjający dla urzeczywistnienia jego zamierzeń był opór materii, a przede wszystkim: czynnik ludzki. Araukańscy i Patagońscy Indianie po prostu nie dorośli do tego, by sami o sobie stanowić i nawet jeśli dawali się porwać przemowom króla, to ostatecznie i tak

kończyło się piciem na umór i zjadaniem własnych koni (surowa konina była ich przysmakiem). Z takim materiałem nawet Napoleonowi nie udałoby się niczego zwojować.

Na zakończenie krótko o wątkach polskich w powieści Raspaila, bo i takie są! Pierwszy, doskonale zresztą ilustrujący psychiczne niedomagania Tounensa, dotyczy zdarzenia z roku 1867, kiedy w Paryżu odbywała się Wystawa Światowa i stolica Francji była dosłownie obleżona przez koronowane głowy i prezydentów licznych państw, w tym gnębiącego Mapuczów prezydenta Chile. Nieszczęsny król Patagonii, oczywiście niezapropony na te obchody, był świadkiem tego, jak Charles Flouquet skierował do cara Aleksandra I okrzyk „Vive la Pologne, monsieur”, który Aureliusz Antoni I zrozumiał „Vive la Patagonie”. Drugi wątek związany jest z powieścią Juliusza Verne’a „Dzieci kapitana Granta”, która wraz z „20000 mil podmorskiej żeglugi” oraz „Tajemniczą wyspą” stanowi swego rodzaju trylogię (w dwu ostatnich występuje postać kapitana Nemo, który – o czym już wiemy – miał być Polakiem). Otóż we wspomnianej powieści bohaterowie przejeżdżają wszecz Patagonię i – jak zauważa Tounens – Verne nie tylko błędzi, pisząc o tym kraju, ale również rozprawia się z nim osobiście w ośmiu linijkach tekstu. Trzeba tu jeszcze dodać, że powieść Verne’a sprzedawała się wylsmienicie, a wspomnienia Tounensa sukcesem wydawniczym nie zostały...

Ponieważ rozpoczyna się sezon żużlowy, wspomnę o jeszcze jednym popkulturowym związku polsko-patagońskim. W pamiętnej komedii *Motodrama* z Jackiem Fedorowiczem o domorosłym talencie w sportach motorowych w sekwencji żużlowej rozgrywany jest w Polsce finał IMS. Głównym rywalem Jacka Jacka (nazywanego zdrobniale Jajackiem) jest... Patagończyk, którego mechanik podcina widełki w motocyklu polskiego zawodnika. Nic to jednak nie daje, bo Jajacek nawet na jednym kole wpada na metę decydującego biegu pierwszy – czego zawodnikom naszej kadry, a także żużlowcom Wybrzeża z tego miejsca życzę!

Wasz wielkokacki korespondent



FATA MORGANA¹

czyli
im dalej, tym gorzej

Recenzje

Karola

„Modyfikowany węgiel”

Richarda Morgana polecił mi przyjaciel, który sam przyznał, że dawno już nie sięgał po pozycje z półki oznaczonej s-f, ale tą książką się zachwycił. Ja może się nie zachwyciłem (w końcu sięgnąłem po ten tytuł wkrótce po lekturze świetnej książki Cobena), ale jest to rzeczywiście bardzo dobra powieść. Gdyby nie scenografia i pewne aspekty rzeczywistości opisanej na kartach książki, to można byłoby powiedzieć, że mamy do czynienia z dobrym kryminałem, wzorowanym na klasycznym czarnym kryminale w wydaniu Chandlera czy Hammeta. Ale właśnie ta scenografia świata przyszłości dodaje temu tytułowi uroku.

W końcu rzadko kiedy zdarza się w kryminale, aby bohater ginął na pierwszych kartach powieści.

W świecie wykreowanym przez Morgana śmierć to tylko drobna niedogodność. Każda istota ludzka ma zaimplementowany stos korowy, w którym magazynowane są na bieżąco wszystkie jej myśli i wspomnienia. Po śmierci wystarczy tylko znaleźć dla siebie nowe ciało, czy raczej – jak to się określa w świecie przyszłości – nową powłokę. Może to być sklonowane własne ciało, ciało innej osoby (np. skazańca, który w ramach kary został sprowadzony do egzystencji przez określony czas w formie pozacielesnej w przechowalni), czy też ciało syntetyczne. Tu jednak pojawia się problem możliwości finansowych. Nie każdy może sobie pozwolić na "upowłokowienie". Świat przyszłości nie rozwiązał bowiem żadnych nękających ludzkość obecnie problemów, w tym także kwestii rosnących nierówności ekonomicznych. Bogaci mogą klonować własne ciała, przebierać wśród ciał osób skazanych czy syntetyków. Biedni muszą brać to, co im przyniesie los.

Takeshi Kovacs, który ginie na pierwszych stronach książki z rąk policji, zostaje skazany na długoletni wyrok w przechowalni. Nie jest tego naturalnie świadomy i nie ma na to wpływu. Tak samo nie ma wpływu na to, że zostaje przetransferowany ze Świata Harlana, gdzie dotąd żył, na Ziemię. Odzyskuje przytomność w nowym ciele już na obcej sobie planecie. Został wyciągnięty z przechowalni przed zakończeniem wyroku. Za jego tymczasowym zwolnieniem i upowłokowaniem stoi Laurens Bancroft. Bancroft jest bogaty i wpływowy. Dzięki swemu majątkowi przeżył już ponad 300 lat, zmieniając w razie potrzeby ciało. Sześć tygodni wcześniej Bancroft zginął. Zdaniem policji było to samobójstwo. Zdaniem Bancrofta: morderstwo. Niestety Bancroft nie jest w stanie udowodnić swojej racji, bo jego stos korowy został zniszczony, a wraz z nim pamięć ostatnich chwil życia. Bogatych stać jednak na to, aby utrzymywać kopie zapasowe swoich stosów. Właśnie dlatego Bancroft wątpi w teorię samobójstwa: po co miałby się zabijać, skoro zostawił kopię zapasową? Kovacs ma teraz rozwikłać tę zagadkę. Powierzono mu to zdanie ze względu na jego wcześniejszą służbę w Korpusie Emisariuszy – elitarnej i owianej legendami jednostce pod rozkazami Protektoratu Narodów Zjednoczonych.



¹ nazwa *fatamorgana* pochodzi od imienia wróżki Morgany Le Fay, której przypisywano zdolność wywoływania miraży

Rozwiązane zadania okazuje się skomplikowane i niebezpieczne. Śledztwo wiedzie byłego Emisariusza do środowisk z marginesu społecznego. Kovacs obraca się wśród prostytutek i dealerów narkotyków, próbując odtworzyć przeszłość Bancrofta i szukając jakiegoś tropu. Naturalnie wciąż ktoś dybie na jego życie. Dużym kłopotem okazuje się dodatkowo fakt, że upowłokowiono go w ciele byłego policjanta, który narobił sobie wielu wrogów.

Akcja powieści jest wartka, więc kiedy już przebrniemy przez pierwsze strony, które wprowadzą nas w realia, to trudno oderwać się od lektury. Sporo godzin rozrywki gwarantowane. Interesujący jest ponadto sam pomysł tej swoistej nieśmiertelności w drodze technologicznie wypracowanej reinkarnacji. Interesujący z wielu względów, w tym także filozoficznych, ale autor wolał skupić się na akcji. Problem tylko lekko zasygnalizował, przedstawiając postawę katolików. W powieści katolicy są sektą, która odrzuca technologię ponownego upowłokowienia. Ich postawa ma zresztą duże znaczenie dla fabuły książki. Dla katolików w powieści śmierć ciała to śmierć ostateczna w doczesnym świecie.

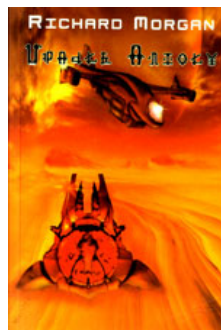
Miałbym do powieści właściwie tylko dwa zastrzeżenia. Jedno dotyczyłoby feromonów, które ukazane zostały jako coś w dużym stopniu determinującego zachowanie ludzi. Już kiedyś irytowało mnie to przy lekturze "Pachnidła". Zapachy są ważne, ale nie są w stanie same z siebie nakłonić nas do niczego. Człowiek właśnie w tym jednym względzie uwolnił się od świata przyrody, że nie kierują nim wyłącznie instynkty. Mózg przetwarza wszystkie docierające do nas informacje. Czasem robi to lepiej, a czasem gorzej, ale już od dzieciństwa podlegamy procesowi socjalizacji, czyli oddziałuje na nas społeczeństwo, warunkując nasze postrzeganie tego, co nam się podoba, a co nie. Feromony w konsekwencji zostają zepchnięte na plan dalszy.

Drugie zastrzeżenie dotyczyłoby systemu ochrony latającego burdelu "Głowa w chmurach". Ten rzekomy super system miał być oparty na detekcji w podczerwieni. Każdy, kto interesował się systemami alarmowymi, wie, że czujki podczerwieni (nie używa się terminu "czujnik") są zawodne, bo z jednej strony alarm może zostać wywołany przez zwykły przeciąg, a z drugiej - złodziej może zasłonić się parasolem i oszukać czujkę. Z tego względu, aby poprawić skuteczność ochrony, stosuje się oprócz podczerwieni także inne formy detekcji, jak np. czujki mikrofalowe, akustyczne, wibracyjne itd. Krótko mówiąc – ktoś sprzedał niezły szajs właścicielce "Głowy w chmurach". No, ale bez tego Kovacs miałby trudniejsze zadanie...

„Upadłe anioły”

"Modyfikowany węgiel" mi się spodobał. Kupiłem więc kolejną książkę autora o przygodach byłego Emisariusza, Takeshiego Kovacs. Przeczytałem. I nie do końca wiem, co napisać. Sam pomysł na intrygę jest banalny. Może powinienem to nawet bardziej zaakcentować: banalnie banalny. Bo i co może być oryginalnego w historii o szukaniu skarbu? Temat odgrzewany nie raz. Także na gruncie s-f. Oczywiście na gruncie s-f skarbem są zawsze artefakty pozostawione przez obcych. Powstaje pytanie: jak przyrządzić po raz kolejny tę samą sztukę mięsa, żeby klient w trakcie degustacji nie krzywił się, że już tego smakował? Najlepiej spróbować oryginalnych przypraw. Morgan przeciwiczył to przy "Modyfikowanym węglu". Wyszło mu naprawdę dobrze. Tym razem jednak miałem wrażenie, że zrobiłbym lepiej sięgając ponownie po potrawę, której już kiedyś smakowałem, niż ryzykując eksperymentalne danie Morgana.

Akcja powieści toczy się na Sanction IV. Trwa wojna domowa. Kovacs walczy po jednej ze stron. Kiedy ranny trafia do szpitala, poznaje tam Jana Schneidera. Ten



proponuje mu zdobycie fortuny. Kluczem do niej ma być statek kosmiczny pozostawiony przez Marsjan. Dla wyjaśnienia: mianem Marsjan określa się obcych, których ślady znaleziono na Marsie. Odkrycie to ułatwiło ludzkości podróże międzyplanetarne. Jak dotąd nie udało się jednak odnaleźć statku kosmicznego Marsjan. Takie znalezisko równoznaczne byłoby ze zdobyciem niewyobrażalnej fortuny. Kovacs akceptuje propozycję Schneidera. Jednak dotarcie do statku wymaga pomocy. W pierwszej kolejności archeologa. A konkretniej: przetrzymywanej w obozie dla internowanych Tanyi Wardani. Planowana ekspedycja wymaga też nakładów finansowych. Należało zatem znaleźć sponsora. Wybór pada na Korporację Mandrake. A ze względu na okoliczności, czyli toczącą się wojnę, potrzebne jest wsparcie militarne. Rekrutacja grupy żołnierzy spośród poległych (przypominam o pomysle znanym już z "Modyfikowanego węgla", czyli upowłokowieniu) nie nastęrcza trudności. A potem były intrygi, zdrady, zabójstwa itd. Czyli sporo akcji. O ile to komuś wystarcza, to lepiej niech nie czyta dalej tej recenzji. Mi nie wystarczyło.

Wszystko byłoby pięknie, gdyby nie mój brzydki zwyczaj stawiania pytań. Ta przypadłość, zwana też ciekawością, jest zarówno przyczyną wielu nieszczęść ludzkości, jak i motorem postępu. Niewiedza czyni mnie nieszczęśliwym. A tu tyle niewiadomych. Dlaczego na Sanction IV toczy się wojna? Dlaczego Kovacs bierze w niej udział? Dlaczego jest prowadzona w taki bezsensowny sposób? Autor nie zadaje sobie trudu, by to wyjaśnić. Nie stara się przekonać do swoich pomysłów. Oczywiście można przyjąć, że z samej definicji wojna jest bezsensowna i nie ma potrzeby dociekania jej przyczyn. Jeśli jednak odrzucimy tę myśl, jako zbyt uproszczenie – to zaczną się rodzić wątpliwości, które stawiają pod znakiem zapytania całą wykreowana przez Morgana rzeczywistość. Obserwacja tendencji obecnych na współczesnym polu walki sugeruje stopniową eliminację czynnika ludzkiego jako z jednej strony zbyt niepewnego, a z drugiej zbyt kosztownego. Maszyny górą. Widać też wyraźnie, że otwarte wojny z użyciem ciężkiego sprzętu są możliwe tylko do pewnego momentu: kiedy przeciwnicy dysponują podobnym potencjałem. Dysproporcja potencjału narzuca wojnie inny kształt. Nie ma wówczas ładnie wytyczonych linii frontu, co ułatwia życie sztabowcom. A wniosek z tego taki, że obraz wojny przyszłości był dla mnie kompletnie nieprzekonujący. Opisy były barwne i pomysłowe. Trup siał się gęsto. A ja wciąż to samo, jak mantrę: dlaczego, dlaczego, dlaczego... Dlaczego Kovacs podejmuje się szukania skarbu? Dlaczego jest takim tępym osiłkiem, którego finezja ogranicza się do wypruwania flaków i cytowania jakiś pseudofilozoficznych bredni będących koszmarnym koktajlem marksizmu, maoizmu, trockizmu i kilku innych lewackich -izmów? A wyszedł z tego jeszcze jeden -izm: idiotyzm. Pewnie mógłbym tak dłużej. Tymczasem zasadnicze pytanie brzmi: dlaczego powstała ta powieść? Bo w gruncie rzeczy nie ma tam nic poza kilkoma wariacjami na temat "jak oryginalnie poznać drugą istotę ludzką życia". Autor popisuje się w tym względzie sporą kreatywnością. Gwoli uczciwości dodam, że przeplata to kilkoma scenami pornograficznymi. Po odarciu powieści ze scen wymyślnego zabijania i seksu – nie zostaje nic. Niemiłosiernie wyeksploatowana w literaturze historia szukania skarbu. I złudna nadzieja do ostatnich kart książki, że będzie drugie dno. A wreszcie brutalne rozczarowanie. Czyta się dość lekko (pomijając pseudofilozoficzne wstawki), ale czy warto poświęcać na to czas? Czy będą tę powieść pamiętał za tydzień, miesiąc, rok?

„Zbudzone furie”

Pewnie nie sięgnąłbym po tę powieść, gdyby nie przyjaciel, który twierdził, że tym razem autor bardziej się postarał niż w przypadku "Upadłych aniołów". A swoją drogą miałem po prostu ochotę na coś s-f. Zaryzykowałem i mam za swoje. Takeshi Kovacs wrócił na Świat Harlana. Zajmuje się swoim ulubionym zajęciem, czyli zabijaniem. Sielanka. Hobby, jak każde inne. Dobrze tylko dorobić sobie do tego uzasadnienie, a w tym akurat nasz bohater jest dobry. Niestety, radosnej rzezi

kapłanów Nowego Objawienia musi chwilowo zaniechać. Wszystko przez to, że niechcący wpadł w konflikt z miejscową yakuzą. W efekcie z grupą najemników trafia do Dravy. Razem z nimi ma zwalczać niedobitki walczących maszyn. W rzeczywistości, chce tam zmienić ciało, by zgubić trop pościgu. Wszystko się komplikuje, kiedy okazuje się, że należąca do zespołu Sylvie Oshimę opętał duch Quellcristy Falconer. Powrót rewolucjonistki, która już raz podpaliła Świat Harlana, oznacza większe kłopoty. Od tej chwili Takeshi Kovacs ma na karku nie tylko yakuzę, ale także rządzące Światem Harlana Pierwsze Rodziny. Władza daje większe możliwości, więc ściga go również jego młodsza wersja.

Potem mamy kilka zagadek, sporo strzelanin, trochę rewolucyjnego bełkotu i mnóstwo absurdu. Mnie najbardziej rozbawili surferzy-rewolucyjniści. Byli wręcz rozczułający w swej nieskończonej głupocie. W każdym razie – o ile "Upadłe anioły" uważałem za słabą powieść, o tyle "Zbudzone furie" atakowały moje szare komórki tak skoncentrowanymi falami absurdu i głupoty, że ledwie dałem radę dobrnąć do końca. Bardzo mnie przykładowo ubawił pomysł szantażu groźbą zabicia. Aż ciarki przechodzą na myśl, jak musi to wystraszyć kogoś, kto wie, że ma kopię tej osoby. Ponowne upowłokowienie to żaden problem. Autor pewnie długo musiał główkować, zanim tak genialny pomysł wpadł mu do głowy. Wiele pomysłów Morgana mógłbym ośmieszyć w podobny sposób, ale nie warto. Lepiej poświęcić ten czas na bardziej produktywne zajęcia. Te bardziej produktywne zajęcia zaczynają się już na poziomie leżenia w bezruchu i wpatrywania się w sufit.



Karol Ginter

<http://karol.ginter.webpark.pl>

[tytuł od redakcji]



Richard Morgan (ur. 1965) jest brytyjskim pisarzem fantastyki. Studiował historię na Queens College, Cambridge.

W 2002 roku została opublikowana pierwsza jego powieść "Modyfikowany węgiel", łącząca elementy cyberpunku i czarnej powieści detektywistycznej. Głównym bohaterem jest Takeshi Lev Kovacs, były komandos należący kiedyś do Korpusu Emisariuszy – elitarnej i mającej złą sławę formacji, wymuszającej władzę Protektoratu na planetach zamieszkałych przez ludzi. Prawa do ekranizacji za sumę miliona dolarów kupił producent filmowy Joel Silver. Umożliwiło to Morganowi zostanie zawodowym pisarzem. W 2003 r. amerykańskie wydanie powieści otrzymało Nagrodę Philipa K. Dicka.

W 2003 r. została wydana powieść "Upadłe anioły" kontynuacja "Modyfikowanego węgla", z tą samą główną postacią. Podobnie jak debiut, łączyła różne gatunki: science fiction i powieść wojenną.

Kolejna powieść "Siły rynku" ukazała się w 2004 r. Jej akcja rozgrywa się w połowie XXI wieku. Pierwotnie było to opowiadanie, później scenariusz i dopiero po sukcesie pierwszych dwóch książek powstała powieść. W roku 2005 otrzymał za nią Nagrodę Campbella.

Trzecia i jak twierdzi autor, ostatnia powieść z cyklu Kovacsa "Zbudzone furie" została opublikowana w marcu (UK) i we wrześniu (USA) 2005.

Thriller science fiction "Trzynastka" (USA "Thirteen", UK "Black Man") został wydany w maju (UK) i czerwcu (USA) 2007 r. Tematem są ograniczenia cielesności i osobowości.

Obecnie pracuje nad trylogią fantasy, której pierwszy tom "A Land Fit for Heroes" został wydany w 2008.
wg http://pl.wikipedia.org/wiki/Richard_Morgan

Koala über alles

PÓŁKA Z DVD



Za moich studenckich czasów miałem kolegę, który stawiał wszystkim za wzór filozofię życia misia koala. Ów czołowy przedstawiciel ziemskiej fauny spija sok eukaliptusa, po czym spada na ziemię i leży, póki nie wytrzeźwieje. Wtedy wspina się na kolejne drzewo, i tak dalej. Jak się okazało ostatnio – są też inni ludzie, którym koala potrafi zaimponować.

Przejdźmy jednak najpierw do filmu *Dziewiątki (The Nines)* Johna Augusta, scenarzysty związanego najbardziej z Timem Burtonem (*Duża ryba, Gnijąca panna młoda, Charlie i fabryka czekolady*). Jego debiut reżyserski w długim metrażu przypomina jednak raczej Lyncha niż Burtona. Fabuła jest mocno tajemnicza i porządnie zagmatwana, choć (w przeciwieństwie do dzieł Lyncha) w trakcie rozwoju akcji dowiadujemy się coraz więcej. Nie oznacza to jednak, że wszystko staje się jasne – otoczka tajemniczości ma się równie dobrze na początku, jak i na końcu filmu, dostarczając widzowi cały czas sporo frajdy.

Całość złożona jest z trzech historii dziejących się w trzech ząbających się – a więc nie do końca równoległych – rzeczywistościach, z trójką głównych postaci obsadzonych w trzech różnych rolach każda. Symbolizuje to początek filmu, w którym główny bohater splata sznureczek z kilku zielonych nitek, aby obwisać go sobie wokół przegubu (patrz plakat poniżej). W jednej z ostatnich scen zdejmuje go, lecz co się wtedy dzieje – nie zdradzę. Co interesujące: nitek tych jest sześć, a nie dziewięć, więc jedna potrójna postać wkręciła się na gapę.

W pierwszej historii Gary, popularny aktor telewizyjny, zostaje umieszczony w areszcie domowym po tym, jak spala niechcący własny dom. Jego obecne miejsce odosobnienia należy do Gavina, scenarzysty telewizyjnego z drugiej historii, kręcącego pilota serialu *Knowing* w Toronto. Świat serialu to trzecia historia, a jego bohater, Gabriel, jest znanym twórcą gier sieciowych. Te postaci to właśnie wspomniane wyżej trzy różne wcielenia głównego bohatera, grane przez jednego aktora, Ryana Reynoldsa. W każdym z nich towarzyszą mu dwie kobiety: klawisz / aktorka / żona (Melissa McCarthy) oraz sąsiadka / producent / nieznajoma (Hope Davis), będąca wspomnianym powyżej gapowiczem.

Oprócz oczywistych powiązań te historie splatają się jeszcze w inny sposób. Otóż po powrocie Gavina z Toronto obaj z Garym zajmują ten sam dom, nie widząc się wzajemnie (z jednym wyjątkiem), za to niekiedy słysząc, obaj więc uznają, że dom jest nawiedzony. Ten jeden raz, kiedy na siebie wpadają, aby zaraz znów zniknąć w swoich rzeczywistościach, tylko wzmaga to wrażenie. Jeszcze dziwniejszy jest moment, gdy bohaterki serialu *Knowing* (żona i córka Gabriela) oglądają na swojej kamerze fragment pierwszej historii, a mianowicie rozmowę Gary'ego ze swoim klawiszem Margaret, pierwszym wcieleniem żony Gabriela, Mary. Z kolei jego córka, Noelle, ukazuje się Gary'emu w pierwszej części filmu – i oczywiste jest, że ona go zna, a on ją widzi po raz pierwszy. Cały czas zresztą zauważamy, że wiele postaci filmu jest dużo lepiej zorientowanych w tym, co się dzieje, niż jego główny, potrójny bohater.

Przejdźmy teraz do tytułowych dziewiątek. Siedzący w areszcie domowym Gary wciąż natyka się na tę liczbę – w ogłoszeniach prasowych, rzutach kośćmi, słownych komunikatach. Ma także w mieszkaniu czerwoną karteczkę z napisem *Look for the NINES*. Margaret twierdzi, że to podświadomość przypomina mu, kim naprawdę jest

– a mianowicie Dziewiątką. Dziewiątką z amnezją, podobnie jak jego pozostałe dwie mutacje. Dalej rozmówczyni wyjawia mu, co następuje:

Jesteś wielowymiarowym bytem o niemal nieskończonej mocy. Ciało, w którym przebywasz, to jedno z twoich wcieleń. Twój awatar. (...) Z ciekawości zstąpiłeś na świat, który stworzyłeś. Jedną myślą możesz go zniszczyć. Uważaj, nie myśl o tym. Masz w rękę wszystkie atuty. Ludzie modlą się do ciebie, żebyś o nich nie zapomniał. I dalej: Wszyscy jesteśmy tam, gdzie powinniśmy być. Poza tobą.

Czy więc nasz bohater jest Bogiem? Niezupełnie, bo Bóg jest Dziesiątką, zaś Gary / Gavin / Gabriel jest bogiem przez małe b, czy też może prawie bogiem. Recenzent FilmWeb odebrał to jako przenośnię: aktor stwarza jedną postać, scenarzysta wiele, a twórca gry sieciowej cały wirtualny świat, w którym jest bogiem, bo zna wszystkie kody. Oczywiście, z pewnością tak jest. Patrząc jednak z pozycji sf – można bez trudu potraktować te historie dosłownie. Co więcej: nie jest to przecież nowy pomysł. Czytałem swego czasu opowiadanie, w którym Bóg (Dziesiątką) wcielił się w człowieka i zapomniał, kim jest, ku zgrozocie niebian. Wszyscy pamiętamy też faceta w białym garniturze z trylogii *Matrix*. W tej więc (najprostszej) interpretacji bohater filmu *Dziewiątki* byłby graczem z wyższego poziomu (co też już było wielokrotnie wałkowane, np. w filmie *Trzynaste piętro*, 1999). Graczem, którego przyjaciele (też Dziewiątki) chcieliby zabrać ze sobą do domu. W trzeciej części Sierra mówi do niego:

Jesteś uzależniony od tej planety i jej mieszkańców. Bez trudu stworzyłeś wszechświat. Najpierw nie zaglądałeś tu często. Zerknąłeś na neandertalczyków, poprzesuwałeś kontynenty. Potem się wciągnąłeś. Zacząłeś tworzyć bohaterów. Niewolników, królów, mesjaszów. Grałeś bez przerwy. (...) Zapomniałeś, kim jesteś. Nic tu nie jest prawdziwe. Nie mogliśmy wyrwać cię siłą. To twój wszechświat i twoje zasady. Dlatego pokazaliśmy ci, jak zły jest ten projekt.

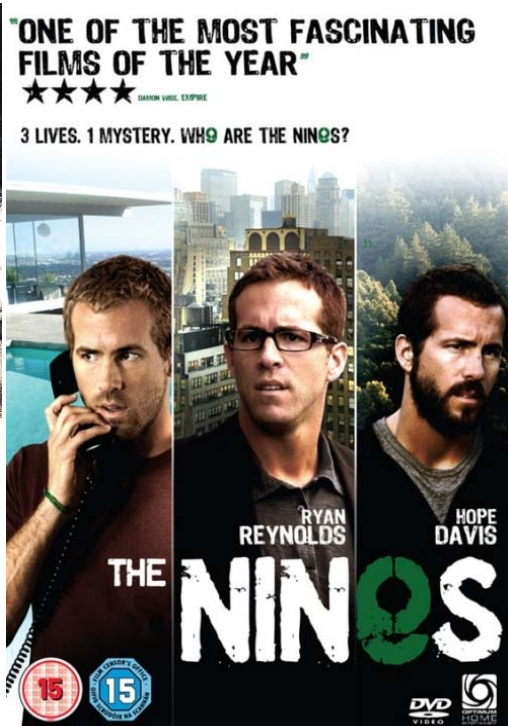
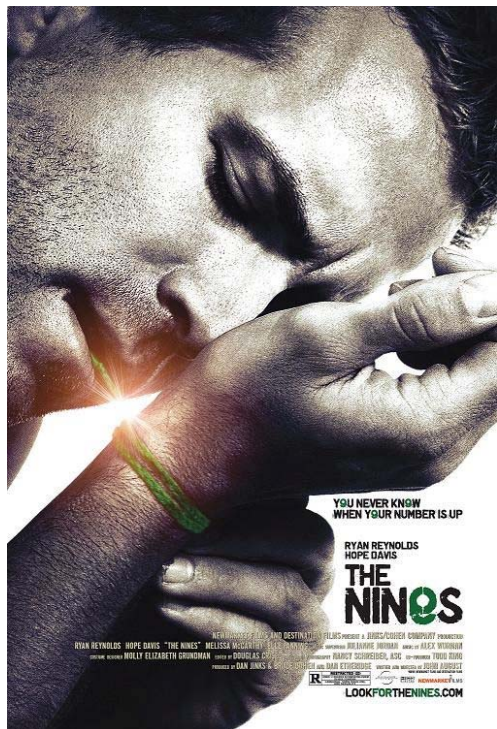
Wróćmy jeszcze na zakończenie do Margaret i jej opisu rzeczywistości. Zdradza ona naszemu bohaterowi, że ludzie to Siódemki, a małpy są Szóstkami. Kim zatem są Ósemki? Otóż okazuje się, że są nimi misie koala, bo mają zdolności telepatyczne i kontrolują pogodę.

Jak przełknąć taką informację? Albo reżyser, tak jak mój kolega ze studiów, uległ fascynacji tym niefrasobliwym gatunkiem, albo cały film jest totalną zgrywą, co byłoby kolejną, trzecią już, interpretacją *Dziewiątek*. Dylemat w sam raz na pierwszego kwietnia. A może oznacza on po prostu, że jestem trochę uprzedzony do misiów koala?

Andrzej Prószyński

P. S. Właściwym debiutem reżyserskim Johna Augusta był krótkometrażowy film *God* (1998), oceniony na FilmWeb jednogłośnie (tzn. głosem jednej osoby) jako bardzo dobry (8,0). Bohaterka filmu rozmawia codziennie z Bogiem, i to całkiem dosłownie, przez telefon. Interesująca ciągłość problematyki, czyż nie? W dodatku tę postać, imieniem Margaret, gra Melissa McCarthy, zupełnie tak samo jak w pierwszej części *Dziewiątek*. Wiadomo, że rolę Margaret/Melissy/Mary reżyser napisał specjalnie dla niej i że są rówieśnikami (ur. w sierpniu 1970, oboje na zdjęciu). W drugiej części filmu Melissa gra samą siebie, a scenarzysta Gavin to *alter ego* Augusta (por. zdjęcie i środkową część plakatu poniżej). Jak czwarta historia, prawda?





Dziewiątki (**The Nines**), 2007

ocena FilmWeb: 6,3/10, IMDb: 6,6/10

scenariusz i reżyseria: John August

muzyka: Alex Wurman

zdjęcia: Nancy Schreiber

gatunek: dramat, thriller, sf

czas trwania: 95 minut

dystrybucja DVD: ITI Home Video

nominacja do Saturna (2008) –

– najlepsze wydanie DVD

w polskiej edycji: tylko zwiastun!

Obsada:

Ryan Reynolds (Gary/Gavin/Gabriel – na plakacie od lewej do prawej)

Melissa McCarthy (Margaret/Melissa/Mary)

Hope Davis (Sarah/Susan/Sierra)

Elle Fanning (Noelle, córka Gabriela)

Cytat: Brak mi pępka ...Kto go nie ma, jest nienarodzony... Zastanawiam się, czy żyję... A jeśli jestem Bogiem?

Najkrótsza recenzja: Produkt lynchopodobny z wkładką metafizyczną.



RECKA NIECO PORÓWNAWCZA

Tytuł: Battle: Los Angeles

Produkcja: USA, 2011

Gatunek: Fantastyczno-naukowy

Dyrekcja: Jonathan Liebesman

Za udział wzięli: Harvey Dent, Michelle Rodriguez, Hoyt

O co chodzi: Kosmici atakować Ziemię

Jakie to jest: Ach, film o ataku kosmitów – jakież może być lepszy pretekst do powrotu mojej skromnej osoby na zakurzone łamy ZP [i INFO – przyp. red.]. Co prawda mowa będzie o *Battle: Los Angeles*, a po drodze mieliśmy jeszcze znakomite *Skyline* (którego z uwagi na tajne misje nie miałem okazji zrecenzować); ale nic straconego – pogadamy sobie siłą rzeczy o obu tytułach.

Jak można było już wysnuć z promocji, *Battle: LA* (poza USA zwany *World Invasion: Battle LA*) prezentuje podejście militarne (a nie np. społeczne) do tematu. Na szczęście jest to podejście raczej lajtowo-reportażowe (a nie Bayowskie), ale i tak film sprawia nadal wrażenie produktu zamówionego przez amerykańską WKU. Głównym bohaterem jest znający życie sierżant po przejściach (Harvey Dent), który po bogatej acz tragicznej służbie planuje dać se spokój z wojem – na szczęście zajazd kosmiccki pozwala mu jeszcze nieco się wykazać.

Film przyjął najlepszą z możliwych w kinie światowym formułę, czyli „oddział na misji”, której kluczowym elementem jest przedstawienie widzowi wojaków i uczynienie ich rozpoznawalnymi na ekranie. Tym razem wprowadzenie bohaterów odbywa się poprzez podpisy na ekranie oraz silne zróżnicowanie wizualne i charakterologiczne. Jak wiadomo, w helmie każdy wygląda prawie tak samo, tak więc dla ułatwienia mamy tu okularnika, rednecka, Latynosa i czystej krwi hardkorowego Murzyna ze środka Afryki. I tak jest trudno wszystkich spamiętać, ale nic nie szkodzi, bo może trzech z dziesięciu jest ważnych.

Podobnie jak w *Skyline* wraże ufoludki nie każą na siebie długo czekać. Po kilkuminutowym wprowadzeniu powyższego oddziału dowiadujemy się z TV, że na całym świecie wylądowało dużo nieprzyjaznych UF i wojsko musi jakoś ogarnąć teraz sprawę. I tu pojawia się pierwsza wyższość *Skyline* nad *BLA*: design kosmitów. Oczywiście w *SL* nie była to też żadna rewelacja, dziesiąta woda po *Matrixie* i *Half-Lifie*, ale i tak wygrywali oni z koszmarnie antropomorficznymi grzyboludami z *Los Angeles*. Już po tym widać, że *BLA* robili ludzie mocno nieobeznani z SF i po prostu nie potrafiący stworzyć sensownego konceptu Obcych. Są to generalnie ludziki rodem z komiksu Wieczna Wojna, walczące jak ludzie, używające podobnej broni i nawet ewakuujące podczas walki swoich rannych (to ostatnie akurat fajne). Różnego rodzaju udziwniona broń i pojazdy kosmitów nie robią specjalnego wrażenia – choć samoloty kosmiczne są praktycznie identyczne z tymi w *SL*, więc z grubsza OK.

Nasz oddział ma za zadanie wyszukiwanie cywilów na zadanym obszarze, który ma być wnet zaorany przez bombowce, więc ewakuacja niewinnych jest w dobrym tonie. Tak więc akcyjka rozkręca się powoli w zwiększającym poczuciu napięcia dymie, aż do pierwszych potyczek z ufolami. Tutaj, w odróżnieniu od *Skyline*, walka jest nieco bardziej wyrównana: kosmici nie mają żadnej cud-broni, więc można się z nimi normalnie postrzelać, a inwazja wcale im nie idzie tak gładko. Potem akcja nieco się rozwija – jak można się domyśleć dzielny sierżant i jego oddział wnet zaczynają emocjonujący wyścig z czasem ratując cywilów z bohaterskim Meksykiem na czele.

Jak wspomniałem, twórcy nie czują się zbyt swobodnie w SF, więc jest to właściwie zwykły film wojenny z kosmickim moderm. Tak więc najważniejsza jest tu postać naszego pełnego potrzeby udowodnienia sobie czegoś sierżanta i otaczający go ludzie. Przez to niestety mamy mocno sztampowy wątek początkującego oficera (aczkolwiek nie tak kultowego jak porucznik Wolfe) i wspomnianego emmerichowskiego bohaterskiego emigranta. Ktoś tam bardzo starał się ukultowić obsadę, więc dodano nieco na siłę neo-Vasquez, czyli Michelle Rodriguez – która jednak chyba powinna usłyszeć wypowiedziane przez siebie dialogi i zapaść się pod ziemię.

Film jest oczywiście przyjemnie kameralny (tak jak *Skyline*), nie popadając też na szczęście za mocno w klimat telewizyjny – choć niestety trafia się nieco dłużyzn. Mamy kilka epicznych scen, głównie ukazujących zniszczenia poczynione przez kosmitów na kolebce światowej kinematografii, ale niestety nie ma nic epicznie wojennego. W *Skylinie* mieliśmy absolutnie genialny atak dronów na mothershipa; tutaj niestety nie ma nic takiego. Wszystko

zachowane jest ściśle w skali naszego oddziału – ja rozumiem niskobudżet, ale przydałaby się jakaś choć jedna doniosła emocjonalnie scena megatriumfu albo megaporażki ludzi. Jest po temu nawet kilka dobrych okazji (np. walka na bagnety z Obcymi), ale jakoś nie są one w stu procentach wykorzystane. Nie będę się już pastwił nad tym, po co kosmici przylecieli na Ziemię – ale każdy, kto chodził do szkoły podstawowej, może mieć problem z zaakceptowaniem lansowanej w filmie wersji. Pomijam też drobny fakt, że film całkowicie kładzie lachę na viralową kampanię – czyli obserwacje i przeloty UFO od lat na całym świecie. Z punktu widzenia filmu jest to chyba ich pierwsza wizyta na Ziemi, za to konkretna.



Przydaliby się tacy kosmici w Mielnie



Polska odmawia udziału w misji do czasu wyjaśnienia przez USA katastrofy smoleńskiej



Dobitny kadr



Bezwygodny, pierwszy właściciel



Dbaj o morale oddziału

Wieszam psy, więc teraz muszę szybko wyjaśnić, że *Battle: LA* to dla mnie całkiem spoko film. Mimo wszystko temat nie został zepsuty, a akcja na ekranie nieźle sprawdza się pod względem wojennym. Jest sporo scen niezłego napięcia i zagrożenia, a sam Eckhart naprawdę mocno ciągnie film w górę. Mimo przewidywalności miliatrnobohaterskich motywów i zlepkę wszystkich możliwych plagiatów/nawiązań ogląda się to przyjemnie – i nie przeszkadza nawet generyczna i powtarzalna do bólu bombastyczna muza. Nawet rodzinno-bohaterskie motywy tak nie rażą i są zastosowane na mniejszą skalę, niżby się można było obawiać. Choć nie ma tej kameralnej epy *Skyline* – mamy sporo fajnych smaczków: całkiem nieźle objechano wątek jak zwykle wojo stara sobie poradzić z nieznanym wrogiem (np. w klawej scenie wiwisekcji Obcego). Także, ponieważ film nakręciło Sony, zabawnym smaczkiem jest billboard Resistance 3 w tle jednej z akcji. Tak czy inaczej warto obejrzeć, bo nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać przedstawiona w filmie wiedza.

Ocena (1-5):

Hoo-ah: 5

Obce: 3

Eckhart: 5

Fajność: 4 (dla ciekawości – *Skyline* oceniłbym na 4,75)

Cytat: Maybe I can help. I'm a veterinarian.

Ciekawostka przyrodnicza: Nic dziwnego, że *Skyline* jest tak podobne do *Battle: LA*. *Skyline* nakręcili znani i lubiani (?) bracia Strause, których firma Hydraulx robiła chwilę wcześniej efekty do *B:LA*. Najwyraźniej bracia pełni inspiracji postanowili nakręcić własne podejście do tematu – co skończyło się dla nich w sądzie sprawą z Sony.

Commander John J. Adams
/www.zakazanaplaneta.pl/

[tytuł od redakcji INFO]

KOLEKCJA OKRUCHÓW HISTORYCZNYCH



Kronika dziejów Henryka I - króla nienamąszonego część 2

Poprzedni okruh historyczny zakończyłem w momencie, kiedy w maju 919 r. we Fritzlarze, na – zwołanym po śmierci króla Konrada I – zjeździe książąt monarchii wschodniofrankijskiej panowie sascy zgodnie poparli jako kandydata do tronu Henryka, syna Ottona Znakomitego z rodu Liudolfingów. Zyskał on też aprobatę części frankońskich możnych. Nie zyskał za to aprobaty księcia bawarskiego Arnulfa oraz księcia szwabskiego Burcharda. Obaj nie zjawili się we Fritzlarze i obaj mieli ochotę na posiąście tronu i korony wschodniofrankijskiej. Liczyli zapewne, że dzięki wrodzonej szwabskiej tudzież bawarskiej przebiegłości uda im się uknuć spisek, zawiązać intrygę tak perfekcyjnie, że Henryk ani się obejrzy, a już nie będzie miał korony.

Nad szwabskim rywalem zdecydowaną przewagę miał Arnulf – po prostu politycznie i militarnie był potężniejszy. Jego państwo, leżące na południowo-wschodnich pograniczach królestwa, odniosło właśnie kilka sukcesów na madziarskimi najeźdźcami, którzy koniecznie chcieli pustoszyć, grabić i gwałcić Zachodnią Europę. Jak to Madziarzy. Sukcesy wojsk Arnulfa może nie były jakieś szczególnie wstrząsające – ale wystarczyły, by posłała fama, że Bawarią włada książę z jajami, któremu nawet pogańscy najeźdźcy z Panonii nie podskoczą. Zacierał więc Arnulf łapki i knuł.

Tymczasem w ogromnych lasach Saksonii, u podnóża gór Harcu, zabawiał się Henryk polowaniami. Jak podają tradycyjne przekazy – Henryk w ogóle nie wiedział, że ktoś jego właśnie na króla wybrał. O wydarzeniach sprzed prawie tysiąca lat poetycko opowiedział Johann Nepomucen Vogl w swojej balladzie z 1835 r. Zaczyna się ona od słów: *Herr Heinrich saß am Vogelherd / recht froh und wohlgemut aus tausend Perlen blinkt und blitzt / der Morgenröte Glut...* . Co mało dosłownie, a za to bliżej ducha poetyckiego można tłumaczyć tak: *Na Ptasiej Polanie pan Henryk siadł / Ze świtu blasku, pereł światła wielce rad...* . W dalszej części poeta opowiada, jak to Henryk napawa się pięknem przyrody i zamierza chwycić w pułapki okoliczne ptactwo. Sielankę przerywa mu nieoczekiwany rwetes, szczęk oręża i rzenie koni. Oto poselstwo przywiozło mu wieść o koronie. Henryk zaś blond loki zakręcił, w niebo spojrzął i pomyślał do głębi poruszony: *Wolę Bóg taką widać miał / że piękny łów mi dzisiaj dał*. Historia ta stała się powszechnie znana w Niemczech między innymi dlatego, że muzykę do poezji dopisał Johann Karl Gottfried Löwe, a całość znalazła się w szkolnych śpiewnikach!

Delegacja z Fritzlaru dopadła ponoć księcia Henryka na leśnej polanie, w miejscu gdzie dziś znajduje się fragment urokliwej starówki miasteczka Kwedlinburg. Obecnie miejsce to nazywane jest Finkleherd i jest kameralnym placikiem otoczonym zewsząd domami szachulcowymi. W centrum stoi osamotniony domek. Takoż szachulcowy. Samo miasto jest rajem dla fanów historii. I to nie tylko tej średniowiecznej. Należy tylko nie popełniać błędu większości turystów I nie wpadać tu na trzy godzinki. Z ręką na sercu mogą powiedzieć, że miasto warte jest co najmniej kilku dni. Długi majowy tykend – to absolutne minimum.



Finkleherd w Kwedlinburgu

Nie była to chyba jednak całkiem zmyślona w romantycznym porywie historyjka, już z XIII w. pochodzi bowiem przekaz, w którym Henryka nazwano Ptasznikiem. Nie żeby miał kosmate ramiona i korpus jak słynny pająk, ale raczej, że ptaki lubił. I to całkiem inaczej je lubił niż pająk ptasznik. Ptasie upodobania uznają za bardzo prawdopodobne, nawet mimo braku źródłowych przekazów z X w. Za każdym razem, kiedy odwiedzam Harc, zdumiewa mnie wielka liczebność ptactwa w tutejszych lasach, a osobliwie ptactwa drapieżnego. Jak się dobrze zastanowić, to przez 40 lat pomieszkiwania w Polsce, i to przeważnie w okolicach zalesionych, nie widywałem tylu ptaków drapieżnych, co w czasie kilku krótkich urlopowych pobytów w regionie Harcu. A przecie jadąc do Niemiec nie zamieszkują tam w leśnej głuszy,

lecz w 40-tysięcznej mieścinie powiatowej. Jeśli zatem teraz, na początku XXI w., stopień „zaptaszenia” regionu Harcu jest taki wysoki, to jakże ptasio musiało tam być jedenaście wieków wcześniej!

Scena leśnego przekazywania Henrykowi insygniów władzy królewskiej znalazła swoje odbicie także w sztukach plastycznych. W kwedlinburskim ratuszu znajduje się dziewiętnastowieczny witraż przedudnej urody ukazujący całe zajście. Zaś w pobliżu jednego z parków miejskich stoi wzruszająca kompozycja rzeźbiarska. Skonfundowany brat zmarłego króla Konrada i towarzyszący mu arcybiskup moguncki ze świtą spoglądają bezradnie to na siebie, to na dzierzony w dłoniach insygnia, zaś Henryk ze szczęśliwością w oczach zajmuje się jedynie pułapką na ptaki. Kompozycja jest dwudziestowieczna, ale trzeba przyznać, że jej autor znakomicie oddał ducha tradycyjnego przekazu i romantycznej legendy. Czy na pewno legendy? Ja nie wiem.



Dwie kwedlinburskie wizje koronacji Henryka I

Równie ciekawe, jak leśne informowanie Henryka o fakcie elekcji, jest jego reakcja. Opisał ją zgrabnie Thietmar z Merseburga: *Henryk przyjął najpierw z głęboką pokorą, jak przystało, ten dar łaski Bożej a zarazem objaw tak wielkiej powszechnej miłości, [...]. Odmówił jednak i nie chciał przyjąć, jak zwykli byli przyjmować jego poprzednicy, pomazania i błogosławieństwa z rąk arcybiskupa Herigera, twierdząc, że nie jest tego godny.* [Kronika Thietmara, tłum. M. Z. Jedlicki, Kraków 2002]

Podobnie sprawę przedstawił bliższy chronologicznie czasom Henryka kronikarz Widukind z Korbei. Według niego Henryk zaszczyt swojego wyboru na króla przypisał zasługom przodków oraz łasce Bożej. Uznał też, że namaszczenia i korony nie jest godzien. Noo, ale królem został.

Co historyk – to inna opinia na temat zadziwiającego gestu władcy. Najwięcej zwolenników mają dwie teorie. Pierwsza, która mówi, że Henryk nie chciał drażnić swoim namaszczeniem innych książąt, więc sytował swój królewski tytuł na pozycji „primus inter pares” (pierwszy spośród równych), bez odwoływania się do sakralizacji królewskiej osoby. Druga teoria zaś twierdzi, że Henrykowi mogła doskwierać rosnące znaczenie hierarchów kościelnych, więc nie chciał uzależniać swojego królowania od łaski namaszczenia z rąk arcybiskupa. Wskazywać miałby w ten sposób na fakt, że wybrali go książęta państwa wschodniofrankijskiego – i to mu wystarczyło do sprawowania władzy. Jakkolwiek by nie było: w owych czasach był to ewenement! Syn Henryka, Otton I, nie powążył się już na wykonanie podobnego gestu i przyjął

pomazanie świętymi olejami. Takż i kolejni władcy. W związku z tym, że trudno się spodziewać, by nagle odkryto nowe, znaczące źródła do dziejów Niemiec w X w., które objaśniłyby nam gest Henryka I, raczej na zawsze pozostaniemy w kręgu domniemań. Faktem za to jest, że miejsce, w którym Henryk dowiedział się o wyborze na tron, stało się jego ulubioną siedzibą.



Tablica umocowana do ratuszowego muru w tysięczną rocznicę założenia Kwedlinburga przez Henryka I

W Kwedlinburgu, na wzgórzu ponad dolinami, Henryk w 922 r. zbudował swoje palatium i bazylikę. Pozostałości budowli z X w. można do dziś oglądać na Wzgórzu Zamkowym, na którym wznosi się wspaniała romańska kolegiata oraz renesansowy zamek. To tu większą część życia spędziła ukochana, druga żona króla, Matylda. Poślubił ją oddalwszy uprzednio swoją pierwszą małżonkę, Hatedburgę, mimo że ta dała mu pierwszego syna, Tankmara (Tammo).

To w Kwedlinburgu i okolicy Henryk I rozstrzygał najważniejsze sprawy swego państwa, to tu stawał w obliczu najazdów madziarskich. W 926 r., zaskoczony przez zagon Madziarów, Henryk I o mało co nie został wzięty do niewoli. Uchroniły go przed nią umocnienia królewskiego palatium w Werli. Wówczas to podjął Henryk I trudną, lecz jakże trafną (jak się okazało), decyzję o tym, by pogańskich Madziarów prosić o dziesięcioletni rozejm. Okupował go corocznym trybutem oraz wstydem płynącym z uległości wobec najeźdźców. Czas ten jednak wykorzystał doskonale.

Uładził sprawy wewnątrzniemieckie, poskromił niepokornych książąt, niepewnych związał ze sobą koligacjami, a wszystkim nakazał budowę umocnień i wzmocnienie wojsk. Zabezpieczył też wschodnie i północne granice państwa – brutalnie spacyfikował Słowian połabskich zmuszając ich do uległości. Po Połabianach przyszła też kolej na Czechów. Ich książę Waclaw uznał niemiecką zwierzchność i musiał płacić trybut. Kolejną ofiarą Henryka padli Wieleci i Obodrzyce.

Były to świetne poligony dla zreformowanej armii Henryka, który rozbudował konnicę, w której specjalną troską otaczał ciężką jazdę. Nie zaniedbywał też piechoty, rekrutowanej wśród chłopstwa. I doskonalił współpracę między formacjami. Pogranicza oraz nowe nabytki Henryk obsadzał załogami składającymi się w sporej części z ułaskawionych skazańców, bandytów, zbójów i morderców. Cóż mieli oni do stracenia?

Jak mówi legenda – kiedy w 932 r. Madziarzy, zamiast trybutu, dostali zabitego psa z obciętymi uszami i ogonem, zezłościł się okrutnie. Zebrali armię i w 933 r. ruszyli do Niemiec. Zdziwili się. Miasta, które wcześniej bezkarnie plądrowali, tym razem musieli omijać z powodu umocnień. Mistrzami oblężenia bowiem nie byli. Podążali więc dalej w głąb kraju w poszukiwaniu bogactw, które mogliby uczciwie i bez strat własnych zagarnąć. Armia Henryka czekała na nich nad rzeką Unstrut, gdzie 15 marca 933 r. doszło do bitwy, w której Madziarów pokonano. Załatwiła ich ciężka jazda saska. Za życia Henryka I Madziarzy nie odważyli się już najeżdżać na Niemcy.

A Henryk pożył sobie do 7 lipca 936 r. i zmarł w Memleben. A gdzie go pochowano? Oczywiście w krypcie na kwedlinburskim Wzgórzu Zamkowym. U podnóża zamku leżała zaś leśna polana, na której Henryk rozpoczął swoją wielką karierę polityczną.

NAJGŁUPSI LUDZIE ŚWIATA (2)

Iracki terrorysta Khay Rahnajet nie nakleił wystarczającej liczby znaczków na liście-bombie - i przesyłka powróciła do niego oznaczona „zwrócić nadawcy”. Otworzył list i wyleciał w powietrze. Podobna historia przydarzyła się kolumbijskiemu terrorysty, Fernando Varro, który wysłał paczkę z bombą do ambasady USA. Na przesyłce zapomniał jednak nakleić znaczka, więc poczta zwróciła ją nadawcy. Varro otworzył pakunek i wyleciał w powietrze.

W październiku 1998 r. 49-letni makler z San Francisco, podczas swojego codziennego joggingu, spadł z 60-metrowego nabrzeża.

W 1999 r. jury internautów uhonorowało młodego wyznawcę Hare Krishny, który szukał kontaktu z naturą i ukrył się w oceanarium na Florydzie, by popływać w basenie z orkami, znanymi jako "walenie-zabójcy".

W 1999 r. wśród nominowanych znalazł się Amerykanin hodujący 5-metrowego pytona birmańskiego. Wąż-dusiciel tych rozmiarów jest silniejszy od każdego człowieka. Pewnego dnia pyton niespodziewanie chwycił zębami głaszczącą go dłoń i zaczął ją pożerać, jednocześnie oplótłszy swego pana śmiertelnym uściskiem. Żona zaatakowanego nie odważyła się ugodzić gada nożem, wezwała tylko policję. Funkcjonariusze przybyli jednak za późno.

Nagrodę w tym samym roku otrzymali również Kambodżańczycy z prowincji Svay Rieng, którzy w barze poszukiwali dreszczyku emocji, skacząc na potężną minę przeciwzołgową. „Ich żony nie znalazły później w kraterze po eksplozji nawet kawałek mięsa” – relacjonowali świadkowie.

Pierwszym w roku 2000 kandydatem do Nagrody Darwina został 26-letni absolwent renomowanego uniwersytetu w Stanford, pracujący w kalifornijskiej Dolinie Krzemowej, utalentowany komputerowiec o imieniu Tod. Na krótko przed północą 31 grudnia 1999 r. Tod wszedł na neon na dachu paryskiego hotelu „Las Vegas” i machał do zgromadzonego na ulicach tłumu. Kiedy wybiła północ – Tod tak uradował się z nadejścia Nowego Roku, że stracił równowagę, runął na przewody dostarczające prąd do świątecznego oświetlenia ulic i sam zaświecił jak fajerwerk. Ludzie wdrapywali się potem na latarnie, by lepiej widzieć zaplątane w drutach zwłoki. Wychodząc w sylwestrowy wieczór, Tod zapewnił swych przyjaciół: „Znacie mnie, zawsze jestem ostrożny”.

A w Nowy Rok 38-letni Adrian, doktorant z Kanady, postanowił popisać się przed kolegami płynąc pod lodem od jednej przerębli do drugiej w lodowatej wodzie jeziora Kingsmere. Przeręble dzieliły zaledwie dwa metry, woda była głęboka tylko do pasa – a jednak Adrian, zanurzony w jednym z otworów, już się nie pokazał. Zapewne nie oglądał filmu "Titanic", wiedziałby bowiem, że hipotermia zabija. Finowie, specjaliści od takich zimowych wyczynów, mówili później, że pływak pod lodową taflą nie ma w nocy szans na odnalezienie przerębli. Druhowie Adriana rzucili się na ratunek, włączyli wszystkie światła samochodu, by wskazać mu drogę – na próżno. Zamrożone ciało wydobyli dopiero nazajutrz strażacy.

52-letni niemiecki turysta postanowił zrobić sobie oryginalne zdjęcia w malowniczym mieście Rothenburg. Ustawił kamerę na trójnogu, rozebrał się do naga i usiadł na miejskim murze obronnym na sześć metrów wysokim. Policja, która odtworzyła film z kamery, zobaczyła później, jak nieszczęsny nagus traci równowagę i spada z muru jak kamień.

Pewien Brytyjczyk z Norwich uznał, że musi skoczyć ze wszystkich mostów w mieście. Kilkakrotnie powstrzymany przez policję – konsekwentnie realizował swój plan. Ostatni skok oddał z wysokości około 20 m do wody na metr głębokiej...

Być może 27-letni Germano i 20-letnia Francesca z włoskiego miasta Chieti nie mogli spełnić swej miłości w domu, z uwagi na sprzeciw rodziców uważających, że młodzi powinni poczekać do ślubu. Czy jednak musieli figlować w małym samochodzie, rozpędzonym do 130 km/h? Germano w ekstazie stracił kontrolę nad pojazdem i auto wypadło z szosy. Policja wydobyła z poskręcanego wraku prawie nagie ciała pechowych kochanków.

Kandydatów do Nagrody Darwina 2000 było wielu. Ostatecznie wyróżnienie to post mortem otrzymał Peter, 52-letni właściciel szkoły obsługi maszyn w Perth w Australii. Peter zamierzał nakręcić film wideo pt. „Jak prawidłowo prowadzić podnośnikowy wózek widłowy”. W pewnym momencie niefortunny kierowca wypadł z kabiny i został zmiażdżony przez koła. Dochodzenie wykazało, że Peter złamał wszystkie przepisy: jechał za szybko, po nierównym terenie i nie zapiął pasa bezpieczeństwa. Pechowy Australijczyk nakręcił najbardziej przekonujące (a zarazem ostatnie) wideo szkoleniowe w swoim życiu.

W 2000 r. pewien Amerykanin z Denver zakradł się na strusią farmę, zapragnąwszy uprzednio zatańczyć z największym ptakiem świata. Przy powolnych pływach struś zachowywał się cierpliwie; zdenerwował się dopiero, gdy intruz zaczął tańczyć rock and rolla. Ptak zaszarżował, a za nim inne strusie. Tancerz z połamanymi żebrami trafił do szpitala, ale cudem przeżył – w związku z tym nie zasłużył na Nagrodę Darwina, lecz tylko na Zaszczytną Wzmiankę.

Życie stracił natomiast 90-letni David z Arkansas, który zapragnął zdobyć darmowe strusie pióro. Jak było do przewidzenia – ciągnięty za ogon struś-samiec kopnął człowieka.

29-letnia Andrea z Nevady postanowiła okiełznać arabskiego ogiera, którego wygrała na loterii. Okręciła się więc w pasie liną, którą obwijała wokół głowy rumaka. Oczywiście, koń zaczął szaleć, zbił kobietę z nóg i pociągnął za sobą. Na pomoc pospieszył ojciec Andrei; ale zamiast od razu zastrzelić zwierzę – zaczął gonić je z psami. Atakowany przez psy rumak ciągnął dziewczynę przez 10 minut. Zdaniem wielu internautów, ojciec – przez swą głupotę – zasłużył, by podzielić nagrodę z martwą córką.

Dwóch zamroczonych alkoholem 47-latków z Kentucky postanowiło zabawić się w Wilhelma Tella, który przeszył strzałą z kuszy jabłko na głowie swego syna. Larry postawił sobie na głowę puszkę piwa i krzyknął do swego druha, Silasa: „Strzelaj!”. Silas wypalił z dubeltówki – ale nie był Wilhelmem Tellem i trafił Larry'ego w środek czoła. „Szkoda, byli przecież najlepszymi przyjaciółmi”, opowiadał później szeryf, Harold Harbin.

Równorzędna Nagroda Darwina przypadła Amerykaninowi z Denver o imieniu Andrew, który oskarżył swego dziesięcioletniego syna o potajemne spałaszowanie porcji lodów. Doszło do kłótni, podczas której rozsierdzony ojciec wcisnął chłopcu w dłoń 15-centymetrowy nóż kuchenny, krzyżąc: „Zabij mnie, jeśli mnie tak nienawidzisz!”. Chłopiec upuścił nóż, lecz tatuś podniósł ostre narzędzie i wręczył synowi jeszcze raz. Tym razem dziesięcioletek wykonał polecenie – i to bardzo skrupulatnie. Konając w szpitalu, Andrew zdążył jeszcze powiedzieć: „Nie spodziewałem się, że ten dzieciak to zrobi”.

Drugie miejsce, czyli Wyróżnienie Darwina, zdobył 19-letni Rasheed z Teksasu, który zagrał przed przyjaciółmi w rosyjską ruletkę za pomocą półautomatycznego pistoletu. Młody głupiec nie wiedział, że półautomatyczna broń, w przeciwieństwie do rewolweru, zawsze znajdzie kulę. Jego szanse na wygraną w rosyjską ruletkę wynosiły więc zero.

Wyróżniony został również Filipińczyk imieniem Augusto, który – grożąc granatem ręcznym – uprowadził samolot lecący z Davao do Manili. Zrabował współpasażerom równowartość 25 tys. dolarów, odbezpieczył granat, wrzucił zawleczkę do kabiny i wyskoczył na spadochronie domowej roboty. Spadochron nie zdołał zahamować lotu ku ziemi, zresztą Augusto wciąż ścisnął odbezpieczony granat. Policja znalazła później na ziemi dwie dłonie. Tyle tylko pozostało z niefortunnego porywacza.

22-letni mieszkaniec miasteczka Reston w Stanach Zjednoczonych został znaleziony martwy – po tym, jak próbował wykonać skok bungee z 30-metrowego wiaduktu kolejowego, wykorzystując jako linę połączone linki holownicze. Policja Fairfax County podała, że Eric A. Barcia, pracownik baru fast-food, połączył kilka linek holowniczych razem, owinął jeden koniec wokół jednej nogi, zaś drugi koniec przyczepił do barierki wiaduktu. Następnie skoczył i... uderzył w chodnik! Warren Carmichael, rzecznik policji, stwierdził, że „Długość przygotowanej przez niego liny była większa niż wysokość wiaduktu”.

Mieszkaniec Vermontu znalazł się w trudnej sytuacji podczas wycieczki do ogrodu zoologicznego Eagle Rock wraz z grupą aktorów dramatycznych z Petersburga. Ronald postanowił, że nie cofnie się przed niczym, by zademonstrować Rosjanom potęgę „Crazy Glue” (superkleju, jednego z amerykańskich cudów). By dowieść jego skuteczności – posmarował nim dłonie i żartobliwie przyłożył je do zadu przechodzącego obok nosorożca. Nosorożec, który mieszkał w ogrodzie od trzynastu lat, początkowo nie reagował, gdyż od małego przywykł do nagłego poklepywania. Gdy jednak zdał sobie sprawę, że Ronald przyczepił się do niego na dobre, wpadł w panikę i zaczął szaleć na wybiegu. „Samica nosorożca Sally ostatnio źle się czuła – wyznał jej opiekun James Douglas. – Miała zatwardzenie. Na krótko przed tym zdarzeniem dostała środek przeczyszczający”. Zdenerwowana Sally rozbiła szopę i zniszczyła ogrodzenie umożliwiając ucieczkę mniejszym zwierzętom. Stratowała trzy małe kozy i jedną kaczkę. Zaraz po tym, jak została poskromiona, zaczęła odczuwać działanie lekarstwa – i wypuściła na Ronalda około stu litrów rzadkiego łajna. Liczny zespół sanitariuszy i opiekunów zwierząt zdołał wreszcie uwolnić Ronalda. „To nie było łatwe – powiedział jeden z nich. – Musieliśmy uspokajać Sally, a jednocześnie chronić się przed łajnem. Można powiedzieć, że Ronald skąpał się w nim po uszy”. Gdy wreszcie poskromili Sally, trzej ludzie z szufflami pilnowali, by Ronald miał czym oddychać. „Udało się nam dać jej środki uspokajające; i wtedy za pomocą rozpuszczalnika oderwaliśmy jego ręce od zadu Sally – powiedział Douglas. – Myślę, że przez jakiś czas nie będzie się bawił”. Rosjanie byli bardzo rozbawieni, ale też zaimponowała im siła kleju. „Kupię trochę kleju dzieciom, ale oczywiście nie pozwolę, by zabrały go do zoo” – powiedział Władimir Zolnikow, kierownik trupy.

Pewien kierowca ciężarówki z Ohio transportował mrożone brokuły, wśród których ukrył przemycaną kokainę. Kiedy chciał wydobyć narkotyki znajdujące się na samym dnie, utknął między mrożonkami głową w dół. Policjanci zobaczyli później wśród paczek brokuł dwie zimne jak lód stopy.

[z Internetu]

Głupie pytania

Potrzebowałbym czasu, żeby to wytłumaczyć, natomiast pan potrzebowałby wieczności, żeby to zrozumieć.

(Albert Einstein)



W ten właśnie sposób genialny Albert odpowiedział podczas prelekcji na pytanie, jaka jest różnica między czasem a wiecznością. Wyjaśnienie to jest zaledwie o włos grzeczniejsze od prostego stwierdzenia, że pytanie było głupie, ale za to jest o wiele bardziej błyskotliwe.

Całkiem podobnie zareagował Bertrand Russell, kiedy na jakimś odczycie wyjaśniał podstawowe zasady logiki. Jedna z nich głosi, że z fałszu wynika wszystko – co ściślej można wyrazić w ten sposób, że zdanie „jeśli A, to B” jest zawsze prawdziwe, gdy A jest fałszywe, niezależnie od prawdziwości (lub nie) zdania B. Prawidło to stosujemy często, aby obrazowo wyrazić nasz stosunek do różnych rzeczy, np.: *Jeśli on to zrobi, to tu mi kaktus wyrośnie*, itp. Otóż jeden ze słuchaczy Russella wymyślił na gorąco analogiczny przykład, a mianowicie: *Jeżeli $2 \times 2 = 5$, to Bertrand Russell jest papieżem*, ale, o dziwo, zapytał, jak to udowodnić. Tu nasz prelegent, podobnie jak Einstein, nie stracił kontenansu i zamiast stwierdzić, że to nie wymaga dowodu, przeprowadził następujące rozumowanie:

Przyjmijmy, że $2 \times 2 = 5$. Ponieważ skądinąd wiadomo, że $2 \times 2 = 4$, więc $4 = 5$. Odejmując od każdej ze stron 3 otrzymujemy, że $1 = 2$. Ja jestem jeden, a ja i papież to dwóch, a więc ja jestem papieżem.

Charakter tej odpowiedzi jest dokładnie ten sam, co poprzedniej – pytanie było głupie, ale ja potrafię na to zareagować z wdziękiem. Co jednak z tymi, którzy sądzą, że *nie ma głupich pytań?* Tym można natychmiast zacytować inne powiedzonko: *Jakie pytanie, taka odpowiedź.*

Cóż jednak ma począć wykładowca, jeśli prawie nigdy nie słyszy żadnych pytań poza „czy to jest X, czy też Y?”. Jak może wyczuć, że to, co mówi, dociera do słuchaczy?

Będąc też wykładowcą, zacznę więc teraz bronić wszystkich pytań, także tych głupich. Co więcej – będę twierdził, że nawet głupie pytania posuwają naprzód naszą wiedzę.

Sławomir Mrozek napisał kiedyś opowiadanie o dwóch zapaśnikach, którzy zaplatali się tak dokuczliwie, że zniecierpliwieni jurorzy zapieczętowali ich na noc i udali się do domów. Zapaśnicy z nudów zaczęli z sobą rozmawiać, a kiedy rano otwarto salę, jeden z nich właśnie powiedział: *A gdybyśmy tak wzięli masę i pomnożyli przez kwadrat prędkości światła, to co by wyszło?* Niezależnie od intencji autora można stwierdzić, że przed Einsteinem uznano by to za bardzo głupie pytanie; a samego Einsteina, na szczęście, nikt nie próbował deprymować.

Nikołaj Łobaczewski (1792-1856) zapytał, co by się stało, gdyby przez punkt poza prostą przechodziła więcej niż jedna prosta równoległa do niej. Nie bacząc na pozorną absurdalność tej kwestii, szukał przez lata wyczerpującej odpowiedzi, stając się w ten sposób ojcem tzw. geometrii nieeuklidesowej. Co więcej – można przypuszczać, że opisuje ona lepiej otaczający nas Wszechświat niż geometria znana wszystkim ze szkoły.

Pytania, nawet te głupie, świadczą o tym, że myślimy, a nie tylko chłonimy informacje, a także o tym, że to, co przyswajamy, nie jest nam obojętne. Mówiąc inaczej: nie stosujemy wyłącznie operacji *kopiuj-wklej*, ale angażujemy przy tym mniej lub bardziej skomplikowane filtry informacji, lub, co jeszcze lepiej, stajemy się kreatywni.

Kiedy będąc studentem przygotowywałem się do egzaminów, często przychodziły mi do głowy różne pytania, na które starałem się znaleźć odpowiedź. Wtedy mój współlokator mówił: *Ty nie myślisz, tylko się ucz.* Cieszę się, że ani razu go nie posłuchałem.

Andrzej Prószyński

Stereo i w kolorze

014

Może nie wszyscy w to uwierzą, ale mam dość narzekania na dzisiejsze czasy. Oby znów mi się nie odmieniło, bo przecież pogodnym optymistom jak wszystkim durniom żyje się przyjemniej niż zrzedliwym pesymistom, choć nie mogą powtarzać z satysfakcją: „A nie mówiłem?”. A może właśnie dlatego?

Powód do radości zawdzięczam wyjątkowi nie takiemu znowu wyjątkowemu. Z pewnego punktu widzenia (jeśli dwa filmy można już nazwać serią; no może będzie trzeci?) „Tron: Dziedzictwo” jest kolejnym rebootem i, jak znane mi dotychczasowe, bardzo udanym. Nie kryję, że nowe „Batmany”, nowe „Battlestar Galaktiki”, nowy „Star Trek” oglądałem z nieukrywaną przyjemnością, a nowym Bondem byłem wręcz zachwycony. Świat, w którym przemysł rozrywkowy (swoją drogą to ohydne określenie aż się prosi o oplucie w którymś „Informatorze”) wpada na tak dobre pomysły i tak dobrze je realizuje – nie może przecież być ze szczętem zły. Nawet jeśli to „dobre” wychodzi mu przypadkiem.

I to tyle, jeśli o typowości chodzi. Bo poza tym nowy „Tron...” jest typowy inaczej. Niby wszystko tak jak powinno, być – a wrażenie inne. Zamiast najmłodniejszych możliwych butów, które podziwia się na wystawie, kupuje z radością, wkłada z wysiłkiem, chodzić nie sposób, a wyrzucić żal – jest jak najwygodniejsze, rozchodzone adidasy dobrej marki; takiej, w której stopy nie pocą się i nie śmierdzą.

Jak każdy dobry reboot „Tron: Dziedzictwo” przede wszystkim odsyła do rzeczywistości doskonale znanej i doskonale oswojonej. Nie niszczy tego, co było, nie udoskonala, nie przewartościowuje, a tylko uzupełnia. Biorąc pod uwagę, ile czasu upłynęło między „Tronami”, pod tym względem dokonano sztuki nie lada. Wizualnie oba filmy łączą się ze sobą tak płynnie, że wydaje się to aż nieprawdopodobne. Biorąc pod uwagę „rewolucję komputerowe”, których świadkiem uczynił mnie aż przesadnie hojny los. Doprawdy, fanatycy komputerowi, tak lubiący kręcić nosem na filmowe błędy i uproszczenia, powinni zwrócić uwagę przede wszystkim na ten błąd, to uproszczenie. Tę swego rodzaju przytulność „Dziedzictwa”, ten brak zadęcia, można uznać za nie całkiem typowość numer jeden.

Jak każda dobra współczesna fantastyka „Tron: Dziedzictwo” olśniewa efektami specjalnymi. Tak, wiem: byłem przeciwny rozpoznawaniu fantastyki po efektach i nadal będę, ale bez przesady proszę, jeszcze nie popadłem w doktrynerstwo. Bo w tym akurat filmie ich olśniewających bogactwo jest nie tylko zrozumiałe, lecz wręcz konieczne. Ze względu na miejsce akcji, to po pierwsze. Wnętrze komputera nie istnieje inaczej niż tak. Ze względu na prawa kontynuacji – to po drugie. To też typowość, ale też jakaś taka nie tak.

Na słabości scenariuszowe drugiego „Tronu” zwracano uwagę aż przesadnie, w końcu jeśli „Avatara” nie ukrzyżowano za głupotę, to i nie ma o czym gadać. Jest jednak w scenariuszu coś, co przy całym swym banale miło do mnie przemawia. Te zapożyczenia zewsząd, od „Gwiezdnego Wojen” po „Matrixy” nie żenują mnie, lecz raczej sytuują produkcję wizualnie uderzającą nie w IMAXie, ale właśnie w fantastyce. Boże, gdyby współczesna SF tak zajmowała się sama sobą, jak zajmuje się wszystkim innym z polityczną poprawnością na czele, trudno byłoby upchnąć ją w mysiej dziurze nazywanej z rozmachem: niszą.

I rzecz ostatnia: tak, w fantastykę filmową wkłada się gwiazdę, najczęściej wypaloną, wyeksploatowaną, za to potrzebującą gotówki. Tak, jest w „Tronie” Jeff Bridges. Tylko że Jeff Bridges ma tu swoje miejsce, to jest jego film. Jeff Bridges nie jest gwiazdą wypaloną, wyeksploatowaną, żyjącą z oszczędności – wręcz przeciwnie: jest gwiazdą „Prawdziwego męstwa”. Jeff Bridges jest wreszcie pamiątką po starej, dobrej fantastyce, którą „Tron: Dziedzictwo” komplementuje i uzupełnia. Fantastyce, w której to, co nie fantastyczne, lecz ufilozofowane i usentymentalnione, nie żenowało, nie śmieszyło. Jest ikoną fantastyki z czasów nie tylko pierwszego „Tronu”, lecz choćby carpenterowskiego „Gwiezdnego przybysza”.

No i proszę, nie wierzyłem, że to kiedyś napiszę, a muszę: może być w stereo, może być w kolorze... i może się podobać.

Krzysztof Sokołowski

25. KONWENT POLSKICH KLUBÓW FANTASTYKI

7 - 11 grudnia

Nordcon 2011



HABITAT BABILON 25
zaprasza wszystkie istoty rozumne
na uroczystości 25-lecia swego istnienia

Babilon 25 znajduje się na orbicie wokół planety Pell w układzie gwiazdy Cor Serpentis (Serce węża) – 6,3 parseka poza granicą Federacji Ziemskiej.

W ciągu ćwierćwiecza habitat stał się centrum handlu (legalnego i nielegalnego), przemytu, paserstwa i szeroko pojętej rozrywki dla okolicznych sektorów Drogi Mlecznej.

Habitatem zarządza znerwicowana Sztuczna Inteligencja i Dyrektoriat z Papierem (też znerwicowanym) na czele.

Możliwe są drobne zakłócenia Jubileuszu, gdyż federalni chcą ponownie spróbować aneksji habitatu, a i Klingoni też coś knują. Na domiar złego, pewien herszt piratów twierdzi, że został przez habitat oszukany (ohydna potwarz!) podczas handlu przedmiotami pozyskanymi niekonwencjonalnymi metodami i odgraża się, że najedzie Babilon 25.

Podczas uroczystości przewiduje się wiele atrakcji, między innymi: Raut 25-lecia (na koszt SI habitatu), Benefis Grupy, aukcja niewolnic i niewolników genetycznych...



Adres habitatu Babilon 25:



Wszystkie szczegóły są podane na stronie GKF: www.gkf.org.pl

GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

INFORMATOR
264

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2

ADRES KORESPONDENCYJNY: skr. poczt. 76, 80–325 Gdańsk 37

STRONA: www.gkf.org.pl

REDAKCJA: Jan Płata-Przechlewski (red. nacz.), Krzysztof Papierkowski, Marcin Szklarski,
Michał Szklarski

OKŁADKA: Sławomir Wojtowicz

GRAFIKA: Piotr Terszel (5)

DRUK: PRINT GROUP Sp. z o.o., <http://printgroup.pl>

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYNIA nr 52 1020 1853 0000 9902 0067 8359

Nakład 300

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów
i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji